

# ZESZYTY JAGIELLOŃSKIE

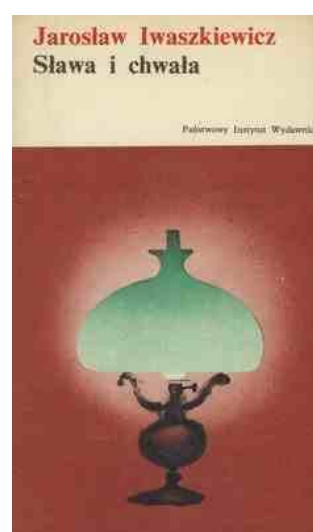
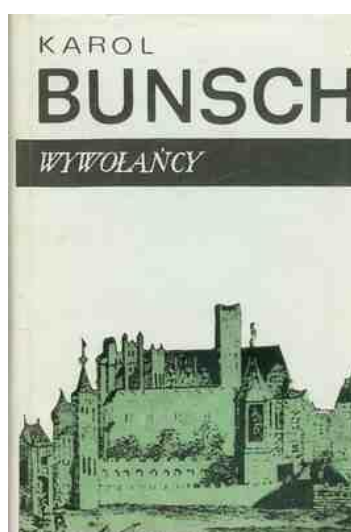
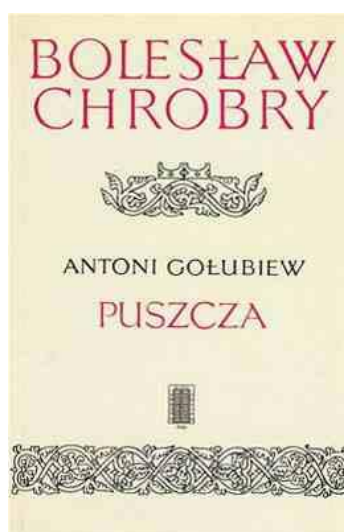
PISMO UCZNIÓW, NAUCZYCIELI I PRZYJACIÓŁ  
LO im. KRÓLA WŁADYSŁAWA JAGIELŁY W PŁOCKU  
NR 84 CZERWIEC 2013, PISMO UKAZUJE SIĘ OD ROKU 2000

---



*Antoni Gołubiew, Karol Bunsch, Jarosław Iwaszkiewicz*

*Wielcy nieobecni lektur szkolnych*



*Kanon literatury*

*Międzyszkolnego Klubu Myśli Polskiej*

***DEBATA O POWIEŚCI HISTORYCZNEJ***

**Zaproszenie do wakacyjnego czytania!**

## **WAKACYJNY KONKURS CZYTELNICZY!!!**

**Przedstawiamy fragmenty trzech wielkich cykli powieściowych pisarzy nieobecnych w szkole:**

- **Antoniego Gołubiewa** - fragmenty I tomu cyklu „**Bolesław Chrobry**” zatytułowanego „**Puszcza**”.
- **Karola Bunscha** - fragment 2 części ostatniego ogniwa cyklu powieści piastowskich - „trylogii łokietkowej” - pod tytułem „**Wywołańcy**”.
- **Jarosława Iwazkiewicza** - fragmenty I tomu powieści „**Sława i chwała**”.

**Zapraszamy do wakacyjnego przeczytania przytoczonych fragmentów, a może... całych powieści.**

**Uważamy, że każda z tych książek mówi coś ważnego o Polsce, uczy poważnego myślenia o procesie historycznym, czegoś, co jest zupełnie nieobecne w potocznej świadomości współczesnego maturzysty.**

**Tych, którzy dadzą się namówić na wielkie wakacyjne czytanie, zachęcamy do napisania własnego sprawozdania z odbytej lektury, eseju-recenzji o przeczytanych fragmentach lub całych książkach i prosimy o przesłanie pracy na adres „Zeszytów Jagiellońskich” ([wkopec1@wp.pl](mailto:wkopec1@wp.pl)) do końca wakacji.**

**Recenzje opublikujemy, a ich autorów zaprosimy na jesienną debatę o polskiej powieści historycznej, dla najlepszych przewidujemy nagrody.**

**\*\*\***

**Zeszyty Jagiellońskie. Pismo Uczniów, Nauczycieli i Przyjaciół Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły w Płocku**

Redakcja: ul. 3 Maja 4, 09 – 402 Płock; <http://www.jagiellonka.plock.pl>; (024) 364-59-20

[lwjszkola@jagiellonka.plock.pl](mailto:lwjszkola@jagiellonka.plock.pl);

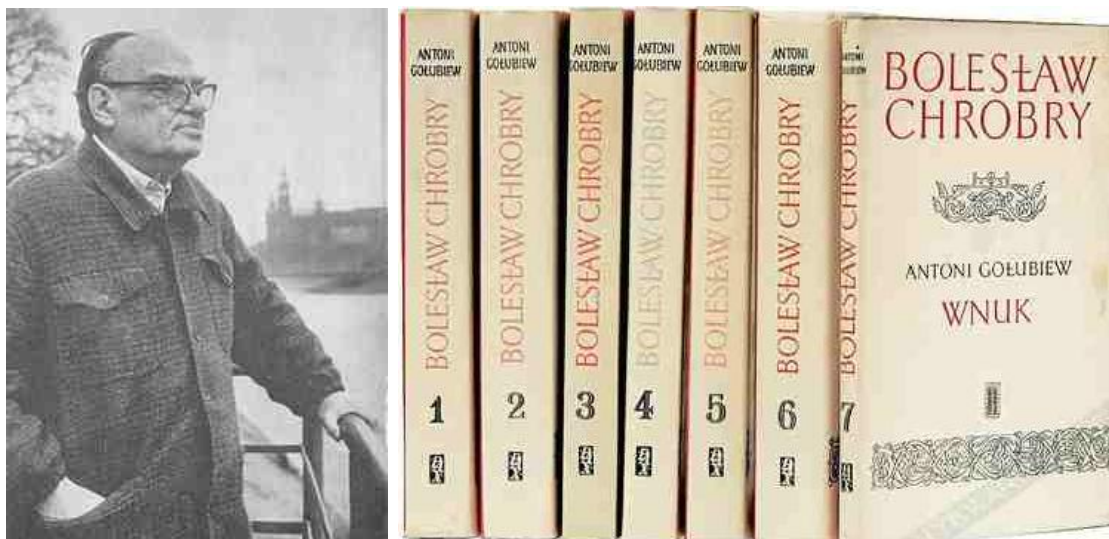
Opiekun merytoryczny projektu: Tomasz Zbrzezny. Opiekun zespołu: Wiesław Kopeć, [wkopec1@wp.pl](mailto:wkopec1@wp.pl)

Zespół redakcyjny: członkowie Międzyszkolnego Klubu Myśli Polskiej.

## Antoni Gołubiew (1907-1979)

Antoni Gołubiew - pisarz i publicysta, z wykształcenia historyk, urodzony w Wilnie, zmarł i jest pochowany w Krakowie. Absolwent Gimnazjum im. Zygmunta Augusta w Wilnie i Uniwersytetu Wileńskiego. Współtwórca (m.in. z Czesławem Miłoszem) grupy poetyckiej *Żagary*. Po wojnie członek redakcji *Tygodnika Powszechnego*, współpracował z pismami *Znak* i *Odra*. Autor czteroczęściowej (siedmiotomowej) epopei, powieści historycznej *Bolesław Chrobry*, pisanej przez niemal całe życie, opowiadającej o narodzinach i pierwszych latach istnienia państwa polskiego. **Twórczość:** *Mędrzy na arenie*, 1935; *Bolesław Chrobry* (tytuły tomów: *Puszcza*, *Szło Nowe*, *Złe dni*, *Rozdroża*, *Wnuk*), 1947-1974; *Listy do przyjaciela*, 1955; *Poszukiwania*, 1960; *Na drodze*, 1966; *Unoszeni historii*, 1971; *Świadkowie przemian*, 1974; *Spotkanie na Świętokrzyskiej*, 1975; *Największa przygoda mego życia. Lata nad „Bolesławem Chrobrym”*, 1981; *W dolinie dwóch rzek. Kazimierzówka*, 1981; *W żółtej poczekalni dworcowej pod zegarem*, 1985; *Szaja Ajzensztok. Trzy świeczniki siedmioramiennie*, 1985. [Z Wikipedii]

# BOLESŁAW CHROBRY



PUSZCZA  
SZŁO NOWE  
ZŁE DNI - CZ. I  
ZŁE DNI - CZ. II  
ROZDROŻA - CZ. I  
ROZDROŻA - CZ. II  
WNUK

## Z powieści: PUSZCZA (wydanie z roku 1980)

11

(...)

Od góry scieniały z wysilenia głos Wszebora:

— Bol-kooo!... Jedziemy dalej skrajem. Poszuuu-kaj połogiego wejścia. Wraaa-caj!

Oni jednakże stali teraz by zakłęci, ogłuszeni: jeno patrzyli w siebie. I obojgu jakoby obrywały się we wnętrzu wielgie głązy, zapadały gdzieś w ciemność, w mrok, w ich istność; czerwieniejącego wokół wieczora nie widzieli. W Mieszkowym synu zanikło — zda się — wszelkie zabojanie, jakby go odmieniło: tym razem zawierzył przelewającej się zmienności — od siwawej bławaci do skier skaczących w oczach.

Ileż tak stali przeciw siebie?... niedługo, do stu być nie policzył. Wždy wiele może się przydarzyć w krótki czas — i jego to naścięło: jakoby całą skórę w sobie obrócił włosiem na wierzch. Pierwsza obudziła się dziewczka.

— Wołają cię — wyrzekła odmienionym, lekko schrypłym głosem.

— To piastun — odparł. — Niechaj woła: nie jego tutaj rzecz.

— A czyja?... Twoja?...

— Nasza — niby ciachnięcie nożem: zbyteczne były dalsze słowa, wiedzieli to oboje. Mimo to wyszeptła:

— Prędkis... — za szerokimi wargami bielą błysnęły zęby. A naraz pełnym, roześmianym głosem, jakby kamień błyszczący w szarym żwirze zaświecił:

— Wždy wieczór idzie, naisto mus pośpieszać, chodźże, ja cię powiodę, drogę tobie ukazę.

Nie opierał się boleję. Odwrócił się do konia, zawołał na tamten brzeg potoka: „Białas, Białas!...” — źrebiec ruszył ku nim przez rozlewisko, mając przygięty łeb, przy każdym kroku wachając bystrą wodę; gdy podszedł, wstrząsnął się, skóra na karku mu zadrgała.

— Chodź — wyciągnęła rękę do księżycy.

— Pojedziesz za mną — wyrzekł. Skoro pochwycił ją za biodra, sadzał na koński zad, mrówki polazły mu po dłoniach, w dołku załaskotało; bezwiednie podrapał się w czuprynie.

Sam jednym skokiem był na łęku, obrócił na bok głowę, wyrzekł:

— Pasa się trzymaj, pójdę w skok.

Uchwyciła, uderzył konia ostrogami. Gdy kłaniał się nadbrzeżnym olchom, czołem uderzała go w plecy: ona również głowę pochylała przed gałęzmi. Kiedy indziej czuł jej oddech na szyi, parzyło ji, w oczach skacze czerwienią. Usłyszał:

— Tutaj!

Urwisko na tamtym brzegu wreszcie się skończyło, wjazd był łagodny, łatwy.

Z powrotem wparł Białasa w wodę, potem kiwali się ku lasowi. Wszebor ze swymi jeszcze nie nadciągał. Nie czekał, stuknął po końskich bokach: popędzili by za jeleniem; zwolnił dopiero, kiej las już prześwitywał. Wtedy obrócił się k'dziewuszcze, oczy miał dzikie, półprzytomne. Zapłonila się pod spojrzeniem.

— Cóżes tak zamilkł?... — już nie miała owej uprzedniej śmiałości, jaką był widział u niej w potoku. — Brankam to, co ją wleciesz ze sobą, kiej w dobytym siodle kajś wziętą?

— Pleciesz — odburknął nieswoim, obcym głosem.

— A ciebie to zatkało abo jak?

— Naisto... — zdawał się gniewny, zły. Na siebie?... na nią?...

To stąd, że nowe już się między nimi zadzierzgnęło, a jeszcze nie zakrzepło, nie stwardniało.

Zeskoczył z lęku, stał tuż obok, ona nań poglądała z góry.

Garścią objął jej nogę ponad stopą, potem powiódł po łydce ku górze.

— Emnilda!... — wychrypiał. Cały świat w tym chrypięciu.

— Czegoj to? — pokraśniała.

— Zejdz z konia, uwiążem tu u kraja: tamci zaraz nadjadą. Sami na bok gdzie pójdziem, za tę leszczynę. Muszę cosik ci rzec.

— Tutaj rzeknij.

— Nie zdołam tutki, chodź.

— Nie!...

— Emnilda!... — jakby skomlenie w głosie.

— Nie!...

— Ty...

Spojrzała w pociemniałe jego oczy, aż naraz się pochyliła, dłońmi ujęła go po obu stronach koło uszu, poczuł na twarzy jej gorący oddech; tak przypadli do siebie ustami, aże zęby stuknęły, oderwali się, znów przywarli; zobaczył, że w jej oczach skry już więcej nie skaczą, jakoby je zasnęła mgła. Wyszeptał:

— Pójdź!...

— Nie!...

Wyprostowała się niczym puszczone z nagła wić leszczyny, przesunęła się po końskim karku naprzód, chwyciła za powody; targnęła nimi, piętami zadudniła Białasowi po bokach: źrebiec skoczył, próżno księżyc go przywoływał, włożywszy palce do ust, gwizdnął na cały las: nie popuszczała wodzów, umiała konia zmusić do posłuchu. Nim dojechała skraju leśnego, odwróciła się, zerwała wianek z głowy — rumian, modra bławać, aleć rumianu więcej — zawołała:

— Przychodź do oćca ze swoimi, z piastunem... za wianek ten odzyszczesz swego Białasa, inaczej nie! Cał, Bolko!... — głos jej już ginął w oddaleniu, tylko łomot rozpędzonego rumaka. Bolko pochylił się, podniósł plecionkę, trzymał w drewnianych palcach, odumiały ze szczeniem. Słońce paliło, ptak zakrzyczał na skraju. Poczzerwieniał, szarpał kwiaty, rwał wianek na kawałki, deptał; jakoby szaleństwo ji chwyciło.

Srom... srom... dziewczka konia wojowi uwiodła: na prześmiech wezmą, na ozory! Już z głębi słyhać głosy Wszeborowych — pobiegł by nieprzytomny, choć nie mógł tamtym uciec, nikaj nie miał się podziac. O staje las się kończył, na skraju czekała go śmiejąca się Emnilda. Powiedziała do otumanionego:

— Bierz mnie na koński grzbiet, wieź do oćca. Masz wianek?

— Podarłem ji — jakoby przeprosiny w głosie.

Pokraśniała po włosy:

— Nic — odrzekła, ciągle jednak spłoniona. — A tyś durny!...

— Naisto — odpowiedział księżyc.

Emnilda zsunęła się z końskiego grzbietu, skoczyła naprzód, dopadła wrót. Bolko usłyszał z wewnątrz szczekanie psów, nawoływania ludzkie, okrzyki dziewczki — miły mu był jej głos, bliski, jakoby swój. Teraz przystanął, czekał na towarzyszków. Gród milczański na wzgórzu poczerniały, osiadły, tylko nowa wieża nad wrotami złoci się w zachodzącym słońcu; na wieży — wedle saksońskiej modły — chorągiew; czerwona, by kropla krwi u końca kopii.

Wszebor z drużynnikami przyłomotał mało co po nim, zasapany od pędu. Księżyc spodziewał się gderania, wżdy stary jeno się roześmiał:

— Bacz, by kolki dziewczki nynie nie sparty: dałby mi ksiądz za piastuństwo!

Młodzik pokraśniał, ściągnął konia, Wszebor plótl dalej swoje, naigrawał się; drużynnicy na to w zgodny rechot:

— Ho ho ho!...

I:

— Och, och, och!...

Otrokowi twarz się ściągnęła: zawsze mu broda wylażała do przodu, jeśli był zły, żuchwy się na policzkach napinały. Obrócił się naburmuszony, a oni mu prosto w gębę:

— Hu hu hu!...

— Ruszaj ta — przykazał Wszebor. Poszli rysią.

Dobromir spotkał ich u samych wrót — wrota niegdyś były kraszone, nynie ledwo znać dawne malowanie. A ksiądz milczański niski, gruby, rechotliwy, policzki kiej nalane tłuszczem, zwisają z obu stron, oczy małe, wesołe. Śmiał się z dala do gości, witał ich z Jezu Krystem, Bolka poklepał po ramieniu — i zaraz wrzeszczał na pacholów, żeby odwiedli konie, pohukiwał na doskakujące psy, podnosił — po niemiecku — gołą dłoń przed Wszeborem, coś ciągiem dogadywał, lice mu podrygiwało kiej trzęsionka. Bolko wodził oczyma po okólniku — szerokim, obudowanym, wyłożonym kamieniami; przypominały mu się cesarskie porządki. Wszędy woje się kręcą, przebiegają dziewczki z naczyniem, skaczą psy. Gołębie unoszą się trzepotem, obsiadają dachy, krużganki, tamok po swojemu gruchają. Od wrzawy aż uszy puchną. W oknach - babińca pewno — stłoczone głowy, w zawiciu abo z wieńcem: oczy kiej tarki, ciekawe, gęby kraśne, spasiono. Emnildy ani śladu. Bolko pojmował jej ukrycie się w tej chwili, rad był tegdy, wesoły, skwapliwie odpowiadał na zagabywania gospodzina. Weszli do sieni.

Turze i łosie łby, rogi najrozmaitsze, broń, kobierce, srebrne i miedziane łańcuchy: niebiedny pan tu żyje, zrazu poznasz. Dokoła paleniska ławy suto moszczone, samo palenisko z okapem — by u Sasów. Żelazny trójnóg na kocioł, na boku beczka z piwem, wtóra z miodem; i konew wina jest. Karła z oparciem, zydle. Niziutkie stołki zastawione czarkami, skrzynie zamcyste, wielka skóra niedźwiedzia z łbem, miast oczu dwa jantary błyszczą żółto; by u żywego stworu. Nie wiedzieć na co pierwej patrzeć — tyle tu dobra zgromadzono: ma czym pochwalić się przed obcym Dobromir, ksiądz milczański.

A sam, jakoby garniec miodu duszkiem łyknał: rady barzdo.

— To ci dopiero goście!... — wykrzykiwał — dzięki bądź Jezu Krystu a stareńkiemu Dadźbogowi. I mołwię wam bez chyby: mój dom, wasz dom, moi ludzie, to wasi ludzie, moje psy, takóž wasze! A jakie psy mam, odyńca-samotnika za uszy wam przyciągną, żeby mnie jęzor skiełczał, kiej bajdurzę. Pojedziem społem w bór, natenczas sami obaczycie. A tobie, synku — obrócił się do Bolka — dam godną parkę, sukę i psa, hi hi hi!... i twój ociec takich w swej Lednicy nie widział. Nie zwodzę nic a nic. A nynie?... łaźnię już napalają, wraz cię miotłą oćwiczę: po oćcowemu, po gospodniu, ha ha ha!...

Aż mu się gęba zlała potem, brzuch ode śmiechu podrygiwał, na grubych swych obrąbkach trzął się by świńska galareta. Zaraz jęli przepijać do siebie, a świadczyć wzajem, Wszebor rozsupał juki, wręczył dary gospodniu, w zamian otrzymał bogaty róg kowany, Bolko wtóry, nie gorszy; Dobromir raz po razie brał księżycyca w swe niedźwiedzie ramiona, duszę wytrząsał. Do łaźni szli niezgorzej się już zataczając. Po wyparzeniu się — gody. Księżycyca posadzono tuż obok gospodzina.

Nie jego wina, że u stołu, gdy patrzył na Emnildę, jak śmieje się, oczyma miga, znowu mu chłodem w wąpiach ścierpło: minione się zamajaczyło. Aleć popatrzył w roziskrzony ślepie, powrócił dumką w skraj lasu, gdzie konia mu wykupić nakazała — i zwid się rozwiął

ostatecznie. A skoro obrócił głowę ku Dobromirowi, przyrównał ji z krzywo uśmiechającym się Geddakiem, gotów był w gębę sobie pluć za przyrównanie. Rozochocił się tegdy do cna.

Nazajutrz ledwo świt pojechali do boru; Mileczanin prawił o matecznikach, gdzie zwierz pewny. Na później to! Teraz dziki wyklują, co na pola wyłażą, ryją, szkody na rzepisku robią — pełno tu tego. „A dzicze mięso z piwem dobre, kiej jeszcze słoniną je doprawić, mołwieć wam, język za nim do brzucha lezie, trzymać go trza przy zębach krótko!” — i chichotał.

Las był mokry od rosy, senny, z listowia pokapywało; wnet im gieżła zawilgały. Dobromirowy jęzor wszakże nie ustawał na chwilę, jego bajanie burczy by woda na kamieniach. Poszczute psy wraz nurknęły w gęstwinię, słyhać naszczekiwanie; zapaśne wiedli na powrozach. Bolko chciał pokrzykiwać, rwać koniem, nie śmiał: za to sulicą dostawało się przez łeb albo po plecach — księżyc czy psiarz wszystko jedno, nie patrzyli! Aleć goręctwa przenikała go na wskroś, drzewce oszczepu pociło się by żywe, oczy biegały. Za borem słonko już musiało wejść, powietrze nasiąkało szarą różowością; jako to po świtaniu. Łowcy kręcili się na siodłach, pośpiesznie spozierali w różne strony, w końcu Dobromir nakazał im zejść z wierzchowców, kiej psy nurknać w głąb gąszczu. Chrust trzaskał pod stopami, mokre liście lepiły się do twarzy; po zwilgłych grzbietach chłodek przeciągał, że ździebko dygotali. Ciężka woń próchna, igliwia, zgnilizny. Młodego gościa ustawiono u wykrotu, musiał czekać. Urwane poszczekiwanie psów, straszące „Hu-ha!...” nagonki. Zatajony pomiędzy korzeniami karcza Bolko z zaschniętym gardłem nasłuchiwał. Nic, tylko te psy, nagonka. Wiewiórka zeskoczyła tuż na gałąź, kręci się, przekrzywia łebek, uszy ostre, sterczące — widać: i ona niespokojna. W skroniach pośpieszny stuk: och!... żebyż wyszedł zwierz naprzeciw, żebyż ji wreszcie dopaść!... — a wždy być może rozmaicie, niejednaka dola u łowcy. Ale nie!... — jest: tupot, szum w gęstwinie, charkotanie, pofukiwania — z bliska szczek psi: jak czarna skała wydarł się dzik z zarośli, biegł zaślepiony, wściekły — aż dziwo, że taki chybki. Ryjem, kłoma o drzewo, zad do góry, krótki chwościk sterczy mu w srogim gniewie. Bolko porwał się od wykrotu, dopadł zwierza, pchnął w bok z całego wysilenia, potknął się przy tym, osunął się na kolana. Dzik targnął się, mimo wbitego weń oszczepu, broczenia rudą juchą, rzucił się jeszcze na księżyc: trójkątny łeb tuż-tuż, oczka małe, przekrwione, złe. Zniżył ryj, wraz uderzył! Bolko już trzymał toporzysko w garści, rąbnął z rozmachu, od lewa, wprost w główiznę: krew trysnęła mu w twarz, na rękę, ochlapała całego; otrok poderwał się od nowa, ale pośliznął się, padł twarzą na wywalony, śmierzący, kłujący ostrą szczecią brzuch zwierzęcia. We wnętrzościach dzika jeszcze drga, burka cosik, pochrapuje — księżyc wprost rozpiera radość: przejmująca uciecha z uśmiercenia potwory. Z gęstwy już tupotali, biegli gromadą — czerwoni, wystraszeni. Podniósł ku nim gorące, uszczęśliwione wejście.

Pierwszy parsknął Dobromir, Bolko za nim. Wraz rechot zrobił się pospólny: jakoby niemałe im się przydarzyło!...

Do dom ciągli zgiełkliwym pochodem. Dobromirowi gęba się nie zamykała: ciągiem nawracał do wydarzenia z gościem a przypadków w czas łowów.

— Był u mnie jeden taki — bajał — od Weletów pochodził. Łoni ząbrz racicami ji zdeptał, rogiem przebił na wskroś. Kasza z człeka ostała. A łowiec był nie spotykany, na nos szedł, powiadam wam, na węc. Kiej pies. Jeno pysk wystawi na wiatr, woń pociągnie, ślepiami łyps tu-tam, wraz do ziemi przypadnie, na czterech łapach lezie, obaczyłybyś: zwierz istny; tyle że chwosta nie ma. A zachce łosia albo ząbrza, migiem wytropi, a na dzika przyjdzie ochota, nim obejrzysz się, dzik już czeka, zmysłę mieszkę skłuć w boru, on kosołapego wynajdzie, każdego zwierza zna, na ziemi-li, pod ziemią albo na gałęzi, wielkiego czy małego, choćby i leśną mysz. A gwizdać zdołał, jakby sam z jaja w gnieździe wyszedł: kłaskać, krakać, świergościć, że nie poznałybyś, czy to człek się odzywa, czy ptak dziki. I musiał ząbrz takiego łowca mnie podeptać, by pierwszego z brzegu niezgułę!... — policzki grubasowi zwisły z żalu, nos jeszcze bardziej zadarł się do góry.

Powracali kupą-gromadą, bez porządku. Za nimi woły w jarzmie, w drabkach cielska ubitych dzików, mnogo tego, jest co ciągnąć; zwierzęta niespiesznie pokiwywały łbami. Psy teraz biegły luzem, podniecone niedawnymi łowami, ruchliwą rozjazgotaną sforą; niekiedy gryzły się ze sobą, tegdy psiarze je rozganiali pletniami.

Zerwała się śpiewka łowiecka. Zaciągacz głośno zapytywał:

*Gdzieżeś to laził stary-bury mieszka?...*

Na co dziesiątek głosów odpowiadał:

*Do barci, po dębie, lado lado, ach!*

I od nowa:

*Czymżeś tam dostał, stary-bury mieszka?*

A chór na to z prześmieszką:

*Kłonicą przez lico, lado, lado, ach!*

— Ha ha ha!... - toczył się śmiech po błoniach. Słomiane chochoły kłaniały się jezdnym na wietrze.

O staje przed grodem rozpuścili konie, wlecieli za wał rozwrzeszczaną, rozszczekaną czeredą. Tu ich nowa czekała uciecha. Na gałęziach drzew wisiały uwiązane za pleciaste łapy gęsi. Mieli rozpędzić konia, w przelocie skoczyć, zerwać ptaka, głowę białą ukreć, w pełnym pędzie dziewczę podrzucić na podolek: ta zaczynała wraz gęś skubać, patroszyć, na rożen poprzez kuper wbijać. Wokół gorzały stosy, żeby na nich piec mięso. Białki siedziały na rozstawionych ławach, zebrane by turkawki, każda swojego nadczekuje: jazgoczą, prześmiewają się wzajem, kpinkują. Pierwszemu przypadło skoczyć Wszeborowi, nie pogañbił się stary wyjadacz: spiął konia, chwycił ptaka za łapy, zerwał pewnie. Wraz jį rzucił knęgini, Dobromirowej Białogardzie; klaskaniem przywitała to gromada — ksiądz był rady aże mu drgało koło nosa. „Wisz ty — krzyczał do małżony — i la ciebie rytter godny się nalazł” — po udach klepał się z uciechy. Bolko poderwał swego Białasa ociuputko za wcześnie, chybił o włos, paluchami przejechał po gęsinej piersi, tylko białe pierze się posypało. Śmiech dokoła rozebrzmiał:

— Ho ho ho!...

— Odrzygęś!

— Pogładził ptaszę. Upieścił.

— Po brzuchu miętkim, po pupce.

*A ta gąseczka kręgiem latała,  
piórka Bolkowi białe rzucała.*

Księżyc zakrećił w miejscu, obleciał kołem, jeszcze słyszał drwiące przewiska, naśmiewającą się zeń śpiewkę, skoczył, chybił za szyję, gęś była mocno uwiązana, urwał łeb, tułów ostał wiszący. Taki srom!...

*A ta gąseczka kręgiem latała,  
znowu Bolkowi się nie dostała...*

Nareszcie udało mu się ściągnąć ptaka, zjechał spłoniony na stronę. Nie mógł go oddać Emnildzie — trzy razy po przekletą gęś skakał wedle srogiego obyczaju sam winien ptaka oskubać. By dziewczka przetowłosa, by smerda w białym zawiciu. Pieśń dalej huczała:

*Jużeś nie woj ty, kiszki wybieraj,  
łapki obrzynaj, piórka obieraj!*



Emnilda wyskoczyła spomiędzy białek, zatupotała przez okólnik tylko łydki migają. Podbiegła do nie zląającego wciąż z konia księżycy i położyła mu dłoń na kolanie — on pochylił się ku niej z wysoka, niepewny, zesromany. Ślepią się jej śmiały złotym migotem.

— Dajże... oskubię.

— Za trzecim razem zerwałem.

— Nic. Oskubię.

— Emnilda!...

— Cichaj. Dawajże ptaka!...

— Emnilda!

— Dawaj, mołwią: ludzie patrzają!...

— Dzika na łowach skłujęm.

Parsknęła śmiechem, on czerwony by mak. Wyrwała z rąk bezgłową gęś, poniosła między białki. Ojciec groził jej palcem, rozweselony do śluz. Widać: nie bardzo gniewny. Emnilda przykucnęła opodal, skubała, aż się pierze dokoła sypało. Bolko nie śmiał spojrzeć w jej stronę, siedział na boku, głowa spuszczone, twarz oparta na dłoniach. Dobromir przygadywał młokosowi, starał się go rozruszać.

Skakali także insi. Komu się udawało, komu nie. Rechot rozlegał się po całym grodzie.

I tak też cały dzień: śmiechy, śpiewanie. Najedli się, napili, kałduny im ciążyły. Po rannym wstaniu a późniejszym nazarcu śpik morzył niejednego. Poszli się przespać na sianie. Potem płasy przy ogniu na cześć gości. Od tupotania, wybijania, hopkania kurz podniósł się nad okólnikiem, żółtą chmurą zawisł w nieruchomym powietrzu. Dziewki do jednej rozpletły sobie kosy, umały się kwieciem — a one wyszywanki, a kabłączki u skroni, a bisior, a świecące guzy! Trzęsło się na nich to wszystko, pobrzękiwało wesolutko. Ujawszy się za dłonie szli korowodem, śpiewający, z krzykaniem. Słonko się już pochyliło, cień pod lipami chłodzi, a jednak spływali potem. Dobromir ze swą białką wiódł idących, Bolko pałętał się z Emnildą, dalej — jak kto się dobrał. Coraz to głośniej rozlegały się wołania:

— Na gaje!

— Na łęgi, na zielone!

— Lelum, lelum, polelum!

— O polelum, polelum!...

Nie wytrzymała gromada zastałej grodowej duchoty, wysypała się poza wrota — kto ku gajom, kto w stronę rzeki, ochłody w wodzie szukać. Bolko z Emnildą za innymi. Dobromir ujął księżycowego piastuna pode łokieć, oczyma wskazał młodych:

— Czekaj już dziewczka dziewosłębów.

Wszebor się naburmuszył: Geddak stanął jak żywy mu w pamięci: wiedział k'czemu to grubas podprowadza. Tamten nie ustępował:

— Mieszka ma-li upatrzonego kogo?...

— Nie wiem ci tego. Dawnom księdza nie widział.

— Rzeknijcie przy spotkaniu słowo. Dziewka godna i wiano przypadnie jej niemałe: Milczański kraj, bogaty kraj, a mnie Rod syna pozałował.

— Nie moja głowa, to i rada nie moja.

— Baccie, jako śmigają. A nas Głomacze nazbyt cisną... i jen ryży przypłodek zza Łaby. Powiecie to?...

— Nie będzie słucał.

Słonko wisiało już nad borem nisko — czerwone, wielkie. Mgła siniała. Po rosie dobrze słycać przyspiewywanie, śmiechy, chichoty i krzykania. Pod nimi trzask wieczornych świerszczów. I jeszcze głębiej, na samym dnie wieczornym, niczym w bezbrzeżnej wodzie — cisza. Reszta to jeno plusk po wierzchu, kłaskanie ptaka nad rozlewem.

Dobromir przynukiwał:

— Namówcie swego księdza: aż mgło mi, że się tak k'nam przewalają poprzez Łabę. Latosi wszyscy my zerwalim się z żelazem, wszelako jeden pył pozostał z tego: siła cesarska straszna! Szepnijcie, a dam wam przetykaną złotem zbroicę, miecz z Italii a konia, co mu z nozdrzy czerwony ogień leci. Nie przepomnicie aby?... Wszebor milczał. Patrzył za swoim Bolkiem.

„On... — myślało się mu nieskładnie. — Może dopiero on... Bez nijakiej dziewczynskiej przynęty... jakem Ziemomysłowi jeszcze sulił. Może Ziemomysłowy wnuk?...”

Ale ust nie rozsuptał, drobniutkimi ćwieczkami przewiercał gospodzina. Tamten pocił się mocno, dukał swoje:

— Księżycowi miła moja Emnilda, nie ślepym, zrazu to obaczyłem. Powiecie?...

— I ja widziałem: nie pierwszy raz ponosi kurka do kokoszki. I gęś mu z ręki wzięła. Wždy nie zaprzeczę: kraśna dziewczka. Cóż, insze takż kraśnie spotykałem i czaru przeciw urokowi wypadało szukać. Młody źrebiec zawždy za kobyłką polec, wszelako księdzu nie dość jeszcze, kiej od klaczy lubą wonią zanieś. Nie wiecie-li tego, Dobromirze?... Nie słyszeliście za swój wiek?...

Aż po krótkim namyśle dodał nagle:

— Wszakże prawie mołwicie: Milczański kraj niebiedny: i grodów u was dość, i ludzi zbierze się gromada. Tak jest naisto.

Dobromir poczerwieniał.

— Rzekniecie swoje słowo?... — pytał.

— Obaczę, jako się obróci — burknął Wszebor. Na mig nie spuścił oczu z maleńkich w dalekości chłopca i dziewczuchy, jak idą, objawszy się ramieniem; głowa przy głowie, skroń o skroń. Stary westchnął.

Cisza. Spokojność ciepłej wody w przedwieczorze. Koniki polne wrzeszczą. Oni tam siebie tylko słyszą. Gromadny przyśpiew nadlatuje z oddali.

Dobromir westchnął, łój na policzkach zdawał się mu rozpływać.

— Starzyśmy już, Wszeborze, nie dla nas igry przedwieczorne. Tegdy chodźmy no do świetlicy albo ku ławie pod tą lipą; na chłodny miód śpieszajmy. Wystały, gęsty.

Zawrócili — bez słowa, w milczeniu. Każdy swoje w zanadru cichcem niósł — z tym jednakowoż żaden się nie zdradził. A napitek im dobrze zrobi — to na pewno!

Do Mieszki przygnął Zadora, wysłany przez wrocławskiego groddzierzcę: księżyc z piastunem powracają. Wraz hyr wielgi poszedł po grodzie, wiedzieli: niejedno z tym przyjazdem się odmieni. I skoro Mieszka nakazał spotykać syna jako gospodzina a księdza, zaruszało się wokół kiej piwo nastawione do warzenia. Biskupa samego przymusił ksiądz do godnego powitania, w dzwon kazał bić, świątków wszystkich zgromadzić. Niebo było w on czas pogodne, wysokie, bez obłoków. Ksiądz postanowił czekać na syna doma, wszelako nie wytrzymał; w ostatniej chwili wypadł na dwór, zakrzyknął:

— Konia mi! Konia... żywo!

Przyprowadzili, wdrapał się na łęk. Zawsze wielkie źrebce sobie wybierał, siedział na nich by zmokła wrona na wieży. Przed wrota wybiegł na ostatni mig: syn nadjeżdżał, widny z dala, niespodziewanie rosły, roześmiany; za nim woje, tuż osędziały przez te lata łeb Wszebora. Dojrawszy ojca, Bolko zeskoczył z konia, Mieszka na swoim jakoby się przypłaszczył, przygiął; kiedy doń młodzik podszedł, pochylił się doń z łęku, ujął twarz w obie garście, pocałował w policzki, w usta. Nie baczył nic na tysiąc ciekawych powitaniem ślepi, gąb rozwartych. Potem się wyprostował, dłoń swą ważnie zasadził za pas, raz jeszcze bacznie

obejrzał pierworodnego, głową pokręcił:

— No!... — rzekł — wielgi chłop z ciebie. Urosłeś.

— Ano!... — odrzucił Bolko; poczuł w tej chwili dawny przyjemny lęk przed swym rodzicem. Uśmiechnął się z nawyku.

Patrzył w ojcową twarz — zmieszany, uszczęśliwion.

— Siadaj na konia — po swojemu, szorstko, przykazał ojciec. I zaraz:

— Młodą drużynę dostaniesz — wyrzucił z siebie dawno zamysłane.

— Ociec!...

— Ano, już tobie pora — zawrócili ku wrotom.

Wielkim grodem był Poznań: nie darmo Lestkowice gród Poznanowi odjęli, Kruszwicę dlań rzucili. Bolko wielokroć dumał u cesarza o Poznaniu: zawsze z bolesnym ssaniem pod żebrami. Teraz zdała się mu warownia niespodziewanie mierna, ciasna: kupa tramów na kamiennym podmurowaniu. Rozglądał się dokoła z zadziwieniem: onże to Poznań? Wszelako miła mu nawet jego małość i ciasnota, miły zaduch grodowy — pachniało tutaj po swojacku, słodko. Wszystko się wreszcie w życiu odmieniło, lelum! Mieszka jechał bok w bok — nadęty, dumny — z ukosa podpatrywał syna. Na koniec nie wytrzymał: — Widzisz! Cyrkiew ukończona.

Otrok spojrział na drewnianą budowlę, w uściech mu zaschło.

— Widzę. Godny trzem.

— I dzwon u góry zawiesiłem. Srebrny.

— I dzwon widzę.

— A ona wieża. Wprzód nie było jej. Od wiosny zeszłej stoi.

— Na oko nie do wzięcia.

Mieszka raptownie targnął głową, popatrzył podejrzliwie na księżyc.

— Możeć ty?... — jakoby się zawahał w sobie. — U cesarza większe widziałeś i mocniejsze, co?

— Zdarzyło się.

— Zdarzyło się?... — ksiądz pokraśniał, prychnął nosem.

— Cyckarz! Dureń! Kiej takie dumki w tobie chodzą, pomnij o jednym: tamto cesarskie, a to twoja. Pojmujesz, ty przyglupku?

Młody roześmiał się — szeroko, w upewnieniu.

— Pojmuję — ściągnął koniu powody, odwrócił głowę, spojrział ojcu wprost w oczy, wykrzyknął:

— Jakoż bym takiej rzeczy miał nie pojąć. Pewnie, że to już wiem: do szpiku we mnie siedzi.

— No!... — odsapnął stary ksiądz.

W grodzie Bolesław poznał Odę, macochę: młoda, urodna, miejsce Dobrawy zajmująca: zakłuło ji ościeniem. Aleć nie tylko on, ona podobnie: spojrzeli na się bez przyjaźni. Wždy gwarzyli spokojnie, księżyc o Merseburgu opowiadał, cesarskiej wystawności — uśmiechali się przy tym do siebie, jak przystało; ale zimne to uśmiechanie, jeno z przymusu. Długie lata będą tak gwarzyć nawzajem, starannie ukrywając narastającą niechęć, z czasem zapiekającą się pod sercem nienawiść. Ową zimną zaciekłość, co ją Mieszka miał poznać dopiero w ostatniej swej godzinie. Ale nynie jary był jeszcze — i jego woła w Poznaniu się liczyła, boleć niczyja. A chciał mieć ich oboje — ją i jego.

Wnet zasiedli do stołów. Rozgwar panował w całym grodzie — wraz z księdzem w każdym pomieszczeniu godów ano, na podwórku, po przyzbach; komornik nie żałował kaszy, piwa, tłustości: księżyc wrócił z niewoli cesarskiej!

Wszelako już na trzeci dzień Bolko przyszedł do ojca z twardym postanowieniem: powie mu o Emnildzie, nie da się wykołować. Mieszka równał pogięte kołce u zbroicy, wymieniał

połamane: nie bardzo mu to szło; usta z uporem zaciął, postukiwał młoteczką, gwałt szczykami. Spod nasepijonych brwi spojrzęły dawne oczy rodzica — surowe, władcze. Młody siadł, obie dłonie położył sobie na kolanach, przyglądał się nieporęcznej robocie ojcowej. Zdawał się sam ze sobą zmagać, usta otwierał i zamykał, oblizywał spierzchnięte wargi. Na koniec spytał:

— Skąd to ta broń?

— Waregska — odburknął Mieszka, dalej stukał i gwałt; kiejby niczego nie dostrzegęł.

Przetrzymał syna. Bolko zaczął niepewnie.

— Daliście mnie drużynę.

— Rzekłem już: przyszła pora!

— Bom jest woj. I wraz zupełnie będę żrały. Nynie trza mi małżony.

Ojciec oczu nie podniósł, stukał. Jakoby pogłos wybiega z ciasnej izby, idzie daleko poza wał, za ziemie i za kraje. Syn się wierci na zydlu, ociera nos, pochrząkuje.

— No?... — podgonił go stary. — Smarki tuś przyszedł sobie czyścić?

— Aleee — przeciagnął Bolko. — Nie smarki.

— Jeno co?...

Jeszcze się ociuputko zaiknął. Wreszcie zaczął:

— Wracający tu od cesarza zajechaliśmy z Wszeborem do Milczanów. Tamok u Dobromira gościłem, godnie mnie tegdy uczcił.

Mieszka się nie odchylił od kolczugi. Niczym suchy śmiech zacharkotał mu w gardzieli:

— Ho ho ho... taką nowiną nynie oćca nęcisz: żeś uczczony — jawna przedrwinka w głosie. „Wie...” — syn pomyślał z lekkim uciśnięciem w dołku. Wszelako się nie zacukał.

— Milczanie wielgi kraj — powiedział wolno. — A gruby Dobromir syna nie ma.

— Ach, nie ma syna?... I co: możeć ty chcesz mu ostać przyplódkiem?...

— Nie przyplódkiem — księżyc widział jasno: łączno z oćcem nie pójdzie, toteż język mu w gębie zrazu skołowaciał. Spodziewał się wybuchu, wzdry Mieszka nic: przelotnie spojrzęł nań znad kolczugi. A potem ozwał się niespodzianie spokojnie:

— Dobre i to!... Jedno powiem tobie, sysunie: skoroś przyszedł już do mnie, to nie lza ci kawęczyć. A ja słyssałem, coś tam u tego Dobromira zwojował: gąskę białą. Wiedz tylko, że ode mnie sakwy na ona ptaszkę nie dostaniesz.

„Ani chybi Wszebor wygadał, stara pleciuga — zatłukło się w dumkach księżycowych. — Bo i kto?... Tamte wszystkie bzdziwojki wiele co nie pojmują: dla nich gaska to gaska, a Emnilda w potoku kraśna dziewczka i nic poza tym; gdy ociec dobrze słysszy, gdzie tu świerszcze cykają. I przeciwi się ochocie synowej.”

Jakoż spadły nań twarde słowa:

— Im prędzej onę cieciorkę wybijesz sobie ze łba, tym będzie dla cię lepiej, słysszysz-li mnie, psichwoście?... Bo ja insze zamysły dla cię noszę.

Jego wszakże goręctwa już poniosła.

— Nie wybiję — zakrzyknęł. — I wy nie wybijecie jej, mitręgi szkoda: lepiej byście nie próbowali!

Przemienił się ksiądz na gębie. Skoro porwał się z zydlu, księżyc myślał, że ji ociec kułakiem wyrznie między oczy: tako nań popatrywał. Tymczasem ksiądz zrobił k'niemu mały kroczeł, spojrzęł jakby zdziwiony.

— Co cię to naszło, durniu? Oćcu się będziesz przeciwił?

Odpowiedział pobladły:

— Co mnie naszło?... Nic mnie zgoła nie naszło. Zwyczajna rzecz: polubiłem.

W głosie rodzica ciągle zadziwienie:

— Tak mołwisz: polubiłeś?... A wiesz-li ty, co jest: polubić?... — Mieszka zapatrył się prosto przed siebie, jakoby swoje dawne dni rozpatrywał. Lecz zaraz zdawał się przebudzać.

— Polubiłeś?... — powtórzył. I od razu, z tym samym wnętrznym zadumaniem: —

No nic, przygodzi się młodemu w dobry czas. Póki co zasię... — znowu spojrzął na syna — pojedziesz w długi objazd, niejedno trza mi w księstwie uładzić, tegdy zaprawiaj się pomału: to jeno ważne.

— Aa... a z Emnildą?... — wyjąkał jeszcze księżyc.

— Ech!... — czmychnął nosem stary ksiądz. — Poucz się lepiej, jak się wybija ulubienie z wąpi: przyda się tobie taka rzecz boleć niżli zrywanie zawieszonych gąsek. I powiem jeszcze, ty głuptaku: takie czy insze ulubienie należy do twojego księdza, ty tutaj jeś kiej sierp u baby, masz ciąć, gdzie ci przykażą — odłożył zbroję w ką, ostawił go samego. Wszelako trzasnęła drzwiami, aże ściany się zakiwały, dom się zatrząsł. Nie wiedzieć czemu wydało się Bolkowi, że nie na niego gniew ten spada. Nawet nie na Emnildę, nie na grubego Dobromira. Na niego jednak czy na kogoś inszego, na to samo wychodzi: zapał się ociec racicami, ani myśli ustąpić.

A on pośrodku izby bladł, czerwieniał, znów bladł, znowu czerwieniał. Dłonie się mu zaciskały, jakby bić myślał pięścią. Wysupłał w końcu przez zaciśnięte zęby:

— I ja oćcu na włos nie ustąpię. Choćby cęgami żyły mnie wyrwał.

I z tym ostał. Na trzeci dzień pojechał w objazd.

Kilkakroć miesiąc się odmienił, zanim Bolko w Krakowie a w Wiślicy uładził, co mu zostało nakazane, i mógł k'occu powrócić. W Poznaniu wszakoż czekało ji niespodziewane: zmówiona przez wysłanych dziewosłębów niewiastka. Stary ksiądz nawet syna nie zapytał, czy mu się dziewczka przeznaczona podoba; jak gdyby nie miało to nijakiego znaczenia

Słyszał, że wołają na nią: Matylda.

Była drobna, ruchliwa, wesoła — z chichotem też go, dura, przywitała; kiedy się zanosila śmiechem, zęby spod górnej wargi sterczały jej niczym siekacze u wiewiórki. On nie mógł patrzeć na to, jak i na czarne ślepka, słuchać nieustającego pochichiwania. Gdy po raz pierwszy wpuszczono go do babińca, dziewczka się poderwała, a nawet wyciągnęła doń by pochutnica obie dłonie: ale ledwo spojrziała na wchodzącego, w jego zamkniętą, mroczną twarz, odpychające nieprzyjazne oczy, jakoby cudza ręka zmasała jej uśmiech z gęby, natomiast sama się spłoniła aż po korzonki włosów. On stanął przed nią, obejrzał z góry na dół by słup przy bramie, jednego słowa nie powiedział; odwrócił się i splunął. Znienawidził ją — nieświadomą — od pierwszego wejrzenia. Ale Mieszka był rad, zacierał sękowate dłonie. „Zaraz im swadźbę wyprawię” — wykrzykiwał dokoła, mimo to jednak czuł jak gdyby lekki zawód: zbyt łatwo z tym synalem poszło, na oko się wydawał twardszy. Dobrze przynajmniej, że koniec z duractwami: dudek chciał własnym umem dzieło wieść, chociaż um jego cały w czubku.

Gody odbyły się na pokaz, wedle starego obyczaju; choć także biskup swoje szeptał, kolca młodych pokropił i sam na palce wsadził. Wszelako młody żonkiś i podówczas oczu nie podniósł, niewiastki swej nie boćknął — oporny aż do końca. Takież sam siedział przy stole, kruże wprawdzie wychylał, ale napitek nie przynosił odmieńcowi wesołości. Jeden ksiądz jawnie okazywał swe zadowolenie, przepijał wkoło, darów bogatych nie żałował: dobrze się mu było znaleźć wtedy pod ręką. Tylko z synem ni razu nie spojrzeli na siebie, jakoby wzajem się nie znali. Każdy jednak dostrzegał: zacięli się by dwa barany. Wszakże koniec nietrudno było zgadnąć: ni k'czemu z księdzem młodzikowi wojować — zawždy Mieszka przeprowadzi swą wolę, pytać innych nie będzie!

Poprzedniego dnia Bolko przyłapał u przelazu piastuna, zagadnął:

— Gadaliście to z oćcem?

Wszebor skrzywił się.

— Ano gadałem.

— I co?

— Nie wiesz-li co? Jutro łożnica.

— Skąd ta Matylda?

— Od Wettynów, Rygdagowa córka. Jej siostrunia, Gerburga, mniszka; po twej swadźbie ksienią pewnie ostanie. Bliska družka twojej macochy.

— Ody?...  
Stary splunął.

— Wieleż ich masz ?

— Ona sulila oócu ?

— Jakażby inna?... Choć ja nie podsłuchuję, co sobie szepczą w łożu społem leżący, to i nie wiem.

Księżyc zakręcił się niczym podcięty bąk.

— Suka!...

— Hamuj się — burczał piastun. — Jutro powiodą was w weselną izbę. Tamok we dwoje ostaniecie, rady na to nie najdziesz.

— A ja nie pójdę — zawarczał by nastraszonego psiaka: zęby szczerzy, aleć chycić nimi nie może.

— Co ci zadała Dobromirowa dziewczka? Zawždy małżony ociec szuka.

— A wy kiej on!... Co zadała?... Ja nie odgadnę tego, wždy zadała. Ością się w serdce wbiła. I ja nijakiej tam Matyldy nie uświadczę.

— Dureń-eś!

To jeno każdy mu powtarza: że dureń. Możeć i prawda to, że dureń. Wszelako mędrki jeszcze durnia nie poznali: wielki tam szysz — łożnica! Nie wszystko na łożnicy się kończy.

Stary zatroskał się: znał swego Bolka lepiej nawet niż ojciec: a nynie widział, co się w młodym wyprawia. I był tam razem z nim u Dobromira — także nie ślepy tegdy chodził. Toteż teraz namawiał go, groził i prosił. Ale Bolko ni be, ni me: słucha bez słowa, a wygląda, jakby zamknął się zaworą.

Po godach obsypali młodych na spor, powiedli korowodem do komory weselnej — tam ostawili samych. Matylda przysiadła cichuteńko na łożu, wiedziała przecie, co się dzieje, pewnoć niejedno ode dwórek ją doszło?... Nynie błyskały jej czarniutkie ptasie oczka, żałośnie polśniewały górne zęby. Bolko stał przed oddaną mu małżoną rozkraczony, niby to patrzył na nią, a zda się spogląda kajś daleko, ponad kraje. Ona w rumieńcu na zwieńczonym licu, spocona pod godowym strojem, szepnęła mu zniecka, twardo, jakoby jej kamyki gruchotały w gardle:

— Bolko!...

Opuścił na nią oczy, milczał. Wtedy wyrzekła z trudem:

— Mężu mój...

Odwrócił się.

Tej nocy spał osobno na wąskiej ławie koło okna. Matylda płakała w pustym łożu do rana; wstała cicha, odziała się bez słowa; kiej naciągała giezło, nawet na nią nie spojrział. Natenczas krótki urwany szloch ponownie wyrwał się z jej krtani; oczy miała czerwone, usta spiekłe, suche. Bolko siedział na ławie bosy, wpatrywał się w gładzone szczapy u swych stóp, milczał niby niemota. Od razu też hyr poszedł po calutkim grodzie: młoda żonka nie wygodziła księżycowi.

Następných nocy — tako samo.

Mieszka biesił się. Oda wierciła pasierba zielonymi ślepami, po kątach szły prześmiechy wojów, w babińcu się gotowało. Bolko chodził do puszczy, gonił zwierza, wracał umordowany, zwał się na swą ławę, zasypiał; Matylda — dalej sama — szłochła do kurów. Zeschła, zżółkła.

Odkąd zaś ojciec kazał ławę z izby wynieść, Bolko rozkładał się na szczapach, skór sobie podesławszy; z łoża dochodził go już nie cichy płacz, lecz skowyt; pokrzykiwał, że mu spać nie daje. Nie pomagało nic, nawet kiej Mieszka lubczyku do synowskiego piwa jął dodawać;

księżyc spał po nim jeszcze twardziej — kiej wprzódy nie użyty i oporny.

Aż w końcu stary ksiądz nie wytrzymał. W sam środek nocy szarpnął drzwiami, wyrwał skobel, wszedł do młodych z kagańcem. Matylda poderwała się z posłania, z twarzą splakaną, duchną przykrywająca nagość. Mieszka twardo zatupał przed synowskim barłogiem.

— Idź do łoża! — wykrzyknął.

— Nie pójdę!

— Nie idziesz?...

— Nii!...

— Każę cię wojom wnieść.

Bolko spojrział szydliwie, zaśmiał się złym, naigrawającym się śmiechem. Odszczeknął:

— I co?... Co jeszcze każecie wojom robić?

Ojciec było poderwał się do bicia, popatrzył jednak milczkiem na syna, na Matyldę, niespodziewanie splunął. Ale jeszcze nie wyszedł: biegał po izbie z kąta w kąt niczym dziki zwierz w klatce., groził winą i klął. Bolko założył ręce za kolana, słowem się nie odezwał na krzykanie; Matylda tak już była przerażona, że nawet nie płakała.

Przepierali się ze sobą długi rok. Po roku Rygdag pomarł. Wkrótce potem Matyldę odesłano do Gerburgi.

Nie ułagodziło to ni ojca, ni syna: obaj byli jednacy, z teźże dębiny wyciosani. Jakoż Mieszka po odjeździe Matyldy nie zwlekał: słał dziewosłębów z darami i z drużyną do węgierskiego Bezpryma.

Węgierka była sucha, brzydka, chuderlawa; całe czoło pryszczate. I nie śmieszka, jak tamta, już prędzej sowa nastroszona. Znowu ziarnem sypano na młodych, śpiewano im na szczęście. Skoro ostali sami, Bolko nie strzymał; ze złymi niełaskawymi oczami stanął przeciw małżony.

— Rozdziewaj się, poćpiego — krzyknął ostro.

Nawalił się przemocą: tak z branką wziętą robią. I podobnie co noc. Uciechy wszakoż było między nimi mało, nie upieścił jej nigdy, słowa dobrego nie powiedział. Po dziesięciu miesiącach Węgierka porodziła chłopca. Mimo krzyków Mieszkowych, ugróz i przyniewoleń Bolesław nie podniósł syna, nie uznał go. Choć nadal kładł się do jednego łoża z małżoną, Węgierka płakała kiej Matylda. Przechodził dzień za dniem, czas upływał w nieweselu.

Gejza rozbił tymczasem Bezpryma na pył, zagarnął jego ziemie. W on czas Wszebor na księzowe przykazanie jeździł do Gejzowej Adelajdy, siostry Bolka: powiedział jej co i jak, rady pytał. Biała Knęgini sulila odesłać córę Bezprymowi. Mieszka nie chciał wszelako się wycofać, zaciął się, Oda judziła po swojemu, chociaż sporu z krewniactwa z pobitym mieć nie mogli: już lepiej z Gejzą drużby szukać. Minął rok — na koniec Bolko przeparał swoje: odesłano Węgierkę.

Tegdy dopiero Bolesław uznał pierworodnego. Wždy był to twardy targ z ojcową zaciętością: i nynie księżyc nie ustąpił bez obiady.

Raz trzeci ksiądz polański posyłał dziewosłębów dla syna — na czele ich tym razem postawił Wszebora. Teraz jechali do Milczanów: iżby Dobromir starszą swoją oddał za układ z Polanami. Grubas się nie przeciwiał, rad był, chichotał; i nie dziw: nareszcie dopiął swego! Toteż weselił się z posłami, pił z nimi do zamroczenia, darów bogatych nie żałował. Niewiele Wszebor miał mitręgi, rychło też przywiózł dziewczkę z jej dworkami; siedem par wołów ciągnęło za nią wozy z wianem: niechże zadziwi się poznański mieszka w swym barłogu, hi, hi, hi!...

Po raz trzeci młodym śpiewali te-że pieśni, znowu miotali na nich ziarno. Po raz też trzeci po godach ustawił się korowód, iżby oboje zawieść do łożnicy. Jeszcze raz hukli społem, nim ostawili samych.

Emnilda nie płakała nocami.

# Karol Bunsch (1898-1987)

Karol Bunsch – urodzony i zmarły w Krakowie, pisarz historyczny, publicysta i tłumacz literatury angielskiej oraz niemieckiej. Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przez wiele lat pracował jako adwokat, piastował także stanowisko krakowskiego rajcy. Pisaniem zajął się jeszcze w okresie okupacji. Debiutował w roku 1945 powieścią *Dzikowy skarb*, szybko zyskując sławę i uznanie. Powieść ta zapoczątkowała cykl *Powieści piastowskie*.

W 1955 ukazała się pierwszą część *Trylogii o Aleksandrze Wielkim - Olimpias*. W 1958 ukazały się dwie krótkie powieści o czasach Jagiellonów - *O Zawiszy Czarnym opowieść* i *Warna 1444*. Obok powieści historycznych pisał również nowele czego owocem jest tomik *Nowele zebrane*.

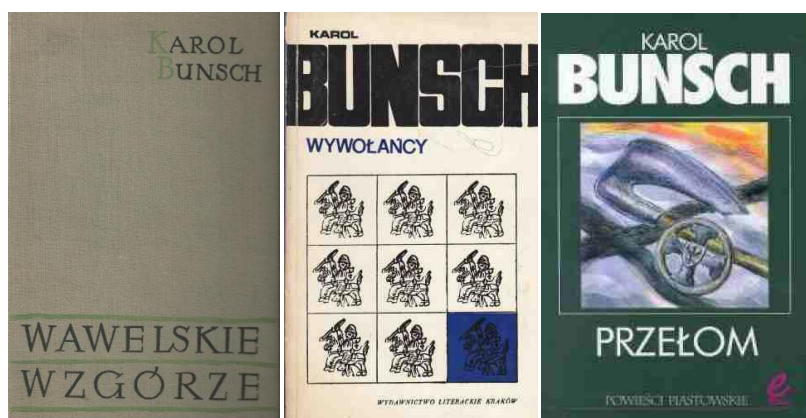
## Cykl Powieści piastowskie:

*Dzikowy skarb* (1945), *Ojciec i syn* (1946), *Rok tysięczny* (1961), *Bracia* (1976), *Bezkrólewie* (1979), *Odnowiciel* (1984), *Imiennik - Śladem pradziada* (1949), *Imiennik - Miecz i pastorał*, *Przekleństwo* (1973), *Zdobycie Kołobrzegu* (1952), *Psie Pole* (1953), *Powrotna droga* (1971), *Wawelskie wzgórze* (1953), *Wywołańcy* (1958), *Przełom* (1964).

**Powieści o czasach Jagiellonów:** *O Zawiszy Czarnym opowieść* (1958), *Warna 1444* (1971).

**Trylogia o Aleksandrze Wielkim:** *Olimpias* (1955), *Parmenion* (1967), *Aleksander* (1967).

Źródło: Wikipedia.



## Z powieści WYWOŁAŃCY

Radocha wracał do swego gródka z postanowieniem odszukania Pizły, by zleciwszy mu pieczę nad Radoszynem, co rychlej ruszyć do Krakowa, póki ni wojaczka, ni gospodarka nie wymagają jego ręki. a drogi nie rozmiękną. W Łabiszynie pożegnali się z Henrykiem, obiecując sobie stosowną porą zająć się znów Krzyżakami.

Tymczasem trzeba było poniechać nie tylko tych zamierzeń. Zima, miast ustępować w miarę jak dni stawały się dłuższe, teraz dopiero zaczęła się srożyć. Wichry z północy niosły zawieje, w których świata widać nie było, zasy zaległy wszystkie drogi i ścieżki, wszelki ruch ustał. Gdy chwilami niebo przecierało się, świat lśnił jaskrawą bielą, na której oko nie znajdowało spoczynku. Mróz skuł wszystkie wody, nawet plamy oparzelisk zniknęły pod zwałami śniegu. Oblodzone drzewa łamały się pod okiścią, pękały z hukiem od przeraźliwego mrozu, płuca kłuły lodowe igiełki, nie pozwalając zaczerpnąć oddechu.



Ptactwo garnęło się do ludzkich siedzib, ginąc tysiącami, wilki zbijały się w stada, które z zuchwalstwem rozpaczy w biały dzień nieraz wdzierały się do wsi. Nie sposób było się ruszyć, bodaj na łowy czy do pracy.

Na gródku umilkł gwar swarzących się niewiast i swawolących dzieci. Chłopi z rodzinami przenieśli się już do Nowej Trzebieży, pozostały dwie stare baby, wynajęte do gospodarki, przy której niewiele było roboty. Kilkunastu pachołków, obrządziwszy konie, też zabijało czas spaniem lub grą w kości. Nawet psy nie wyłaziły ze swoich bud, chyba do żarcia. Gródek ogarniała nuda bezczynności.

Radocha po powrocie zajął się zrazu ozdabianiem swej siedziby poznańskimi łupami. Porozwieszał i porozkładał kobierce, tkaniny i poduszki, porozstawiał naczynia i sprzęty i samotnie siedział wśród tych wszystkich świetności, wpatrzony w płomień na kominie, podtrzymując go prawie ustawicznie. Nigdy nie miał tyle czasu, co ninie, na wspominki i rozmyślenia, dziwiąc się, jak mu zobojętniały wszystkie zamierzenia, którymi żył dotąd. Gdyby miał dom, rodzinę, warto by było zabiegać o każdy kołek w płocie, o powrózek czy rzemień, warto by się przyprzeć do ziemi, która — wdzięczniejsza niż ludzie — za włożony trud płaci sytością i ciepłem. Teraz Radocha uświadamiał sobie, że tęsknił za ziemią, bo z nią w pamięci jego wiązało się wszystko, do czego przyłgnęło jego serce, zanim stwardniało w życiu, którego każdy dzień grozą okrutnej śmierci wypierał wszelką myśl o przyszłości i nie pozwalał jej wracać do tego, co minęło: do rodzica, który został w pamięci jako moczarnik z bajki, do małej siostrzyczki, której wyglądu już nie mógł sobie Radocha przypomnieć, bo w kolebce była, gdy ją ubili Krzyżacy, do pochylonej nad dzieckiem macierzy, hożej i rosłej, pogodnej jak słońko niewiasty, jako ono roztaczającej wokoło ciepło, dbałej o wszystko, co żyje.

Teraz Radocha uprzytomnił sobie, co go ciągnęło do Kundzi: przypominała mu macierz, nie z urody, jeno że i przy niej ogrzać się mógł każdy, komu zimny był świat. Głupi Krzych, czego mu trzeba więcej niż domu własnego, którego nigdy nie miał przedtem, i niewiasty, do której lgnie każdy, ona zaś do niego jedynie, mimo wszystko, co przeciw niej zawinił.

W Radosze zarazem podnosiła się złość przeciw Parzychowi i żal mu go było. Nie on winien, że omotały go sprawy mętne jak fala powodzi, niosąc go gdzieś bez woli. Ale miast rękoma i zębami czepić się choćby wierzby przybrzeżnej, kołysze się na pajęczej nitce, jak prawil Budziwoj.

Ale Budziwoj prawil też, że księżę nie ufa Krzychowi. Może i księciu wiadomo, że Krzych jest z Nałęczów, a nie brak w tym rodzie przeniewierców. I Krzych sprzeniewierzył się, ale cóż, że niedoświadczony młodzik uległ chytrej niewieście? Przecież potem w walce z Krzyżakami okazał, że liczyć można na niego. A może jeszcze coś jest w jego sprawie, co i Radosze nie znane? Takie zdatne ręce, jak Krzychowe, odstawić, kiedy ich brak!

Radocha patrzył na własne, szerokie i sękaty dłonie. Mocne były, niejedno życie wyгнаły z ciała. Ale Krzychowemu rodzicowi nie mogły sprostać. A Krzych ubił go. Może byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby był Mścigniew ubił Krzycha? Nikt by nie wiedział, że to rodzic syna ubił. To by na zawsze zostało tajemnicą, a zniknęłyby wszystkie inne.

Radocha wzdrygnął się. Nie życzył Krzychowi zła, nawet przywiązał się do niego. Wszystko by zresztą inak poszło, gdyby mu rzekł w swoim czasie, co wiedział. Sam był winien. Cóż że Mścigniew był Krzychowi rodzicem? Służył psubratom, zasłużył na swój los.

Radocha pomyślał, że może i on gdzieś ma syna, o którym nie wie. Niemało niewiast przewinęło się przez jego twarde ręce. Może kiedyś on własnego syna ubije, może zginie z synowskiej ręki. Co mu ta! Śmierć jest jedna i czeka na każdego, Ale pomyślał, że gdyby syna miał z umiłowaną niewiastą, wołałby też, by ten nie wiedział, że ubił rodzica.

Radocha nie nawykł do rozważania takich spraw i męczyły go. Toteż gdy pod koniec marca, choć mróz trzymał nad podziw, ustały zawieje i szlaki się przetarły, jakby ożył

zbierając się do drogi. Słońce, przypiekając południową porą, topiło powierzchnię śniegów, osiadających pod ciężarem, wilgoci, nocami zaś ścisnął ją mróz. tworząc grubą skorupę, po której i koń przeszedłby, tak że nawet bezdrożami poruszać się było można.

Poniechał rozmyślań, które do niczego nie wiodły, a myśleć zaczął o Piźle. Był całkiem pewny, że niech go jeno odnajdzie, druh bez gadania wróci. Zresztą powie mu, iż żenić się już nie zamierza ni odmieniać żywota. Po namyśle spakował nawet kobierce i inne ozdoby. Piźło stawiał gródek z myślą o pomście, niechże go takim najdzie, jakim porzucił.

Teraz Radocha spieszył się, póki mróz trzyma.

Gdyby puścił, drogi staną się przepadliste, a gdy podeschną, trudniej będzie Piźłę odnaleźć, bo zacznie się ruszać. Teraz pewnikiem ulgnał gdzieś w borach nad Wisłą, gdzie z dawna nie brakło im znajomków wśród bartników, smolarzy i rybitwów. Z nimi to, ani chybi, zalewał sadła za skórę toruńskiemu komturowi, i któryś z nich wskaże, gdzie Piźły szukać.

Radocha zabrał ze sobą jedynie pachółka Rzepkę, który się zdalny i obrotny okazał w poznańskiej wyprawie. Większej kupie trudniej się przemykać niepostrzeżenie, na granicy zaś kujawsko-pomorskiej spokój jeszcze panować winien. Kujawscy zresztą książęta baczą, by nie zadzierać z Krzyżakami, tyle że i przed nimi strzec się trzeba, skoro się im Radocha naraził, a i Leszczyce radzi by go dostali w swoje ręce. Trzeba unikać ludzi, póki się do znajomków nie przebierze, choć mroźne noce nie zachęcały do noclegów w lesie pod zbitym naprędce szałasem.

Wyruszywszy o pogodnym świcie z Rzepką, koło południa ominąwszy Bydgoszcz, ciągnęli w kierunku Solca. Za dnia w kozuchach zgrzali się nawet, ale pod wieczór wiatr ruszył ze wschodu, przenikliwy i mroźny, wcześniej więc stanęli na nocleg, wyszukawszy głęboki wykrot, który i koniom dawał schronienie. Spędziwszy byle jak noc, gdy jeno wczesny świt zabarwił niebo, radzi znaleźli się w siodłach, bo szybki ruch rozgrzewał zdrętwiałe członki. Radocha zmierzał do dawnej Krzychowej siedziby nad Tonczyną. Jeśli nie spalili jej Krzyżacy, zapewne stoi pusta i tam najlepiej byłoby się zatrzymać, po kolei objeżdżając znajomych w okolicy osadników, póki na ślad Piźły nie trafi. Konie się nie zmarnują w ciepłej stajni, on zaś z pachółkiem nie będzie czasu tracił na przygotowanie noclegów.

Słońce już zaszło i mróz przybierał, ale Radocha nie zatrzymywał się w znanej już okolicy, ciągnął dalej lasem. Pełny księżyc stał na niebie, gasząc światło gwiazd, a siejąc własne przez bezlistne sklepienie gałęzi, tak że jechać można było jak w dzień. Dotarliśmy na wysokość gródka, skręcili na południe i wynurzyli się z boru tuż naprzeciw niego.

Gródek stał na miejscu i lśnił w księżycowym świetle śnieżnymi czapami, okrywającymi dachy budynków i samborzy. Ostrokół nad rzeczką pochylił się gdzieniegdzie lub nawet zwałił, widocznie podmyty wiosennymi wodami. Zresztą nie zmieniło się nic, jeno głucha cisza panowała w gwarnej ongiś siedzibie.

Radocha rozglądał się i nachodziły go wspomnienia. Pod wałem, ledwo widoczne spod śniegu, leżą kopczyki mogił towarzyszy, poległych w walce u przeprawy pod Grabiami, a wśród nich Krzychowego rodzica. Niejeden legł z jego ręki, a mało brakło — sam Radocha znalazłby tu swoją mogiłę. Człek nigdy nie wie, gdzie miejsce na nią przeznaczone. Ale cóż, gdyby i wiedział? Uniknąć go nie potrafi.

Zadumę Radochy przerwał Rzepka, który zsiadłszy z konia, ruszył ku odległemu o kilkadziesiąt kroków przejazdowi przez rzeczkę. Ledwo widoczna była spod nawianego śniegu, znacząc swój bieg małym zagłębieniem, którego można by nawet nie zauważyć, gdyby nie pasy zarośli po obu brzegach. W jednym miejscu była w nich przerwa, zjeżdżone brzegi rozchodziły się i tam stanął pachółek patrząc w dół, Radocha podjechał ku niemu, a Rzepka, wskazując na bród, powiedział:

— Ktoś ci tu jechał.

Radocha zeskoczył z konia, by obejrzeć ślady.

— Stare — mruknął.

Ujawszy konie za uzdy, przeszli zamarzniętą rzeczkę i przez otwartą na ścieżaj bramę, której opadnięte i śniegiem na łokieć przysypane skrzydła wskazywały, że długo nie była zamykana, weszli w dziedziniec. Radocha oddał Rzepce konia, każąc mu czekać, a sam ruszył do budynków, rzucających długi cień na lśniąca i gładką płaszczyznę podwórca. Potknął się o kopczyk, którego tu nie pamiętał. Zapewne mogiła Terki, bo zmarła, gdy on z Krzychem już stąd odjechali. Zaklął i splunął od uroku. Jeszcze po śmierci jęzga przeszkadza. Z niemiłym uczuciem wszedł do pustego i ciemnego wnętrza. Otworzył okiennice i blask księżycy rozjaśnił obszerną izbę.

I tu pełno było śladów ludzkiego pobytu. Pod ścianami leżała ściółka, na kominie zwęglone resztki drewna i popiół, na stole zamrznęte odpadki jadła. Musiała tu bywać większa gromada ludzi.

Radocha obszedł cały dom. Wszędzie to samo. Zajrzał do stajni. Snuła się tu jeszcze w powietrzu nikła woń koni, na podstryszu rozsypane było siano.

Wszedłszy na dziedziniec. Radocha zamyślił się. Gródek ani chybi służył za czasowe schronienie zbójcom. Zapewne znalazłby znajomków, ale wolałby spotkać się z nimi w jasny dzień, nie zaś zniecka w nocy. Jakiś niepokój w nim wstawał i Radocha rozważał, czy nie lepiej byłoby poszukać noclegu gdzie indziej, choćby we wsi, która też pewnie pusta, jeżeli nie spalona. Ale konie były zdrożone, pacholek niemal zasypiał, a i sam Radocha czuł się utrudzony. Kazał przeto konie zawieść do stajni i naobroczyć, pojenie odkładając do rana, bo żuraw studzienny pozbawiony był wiadra, a w rzece lód trzeba by rąbać.

Gdy pacholek zajął się końmi, Radocha skrzesał ogień i jął przygotowywać wieczerzę. Po chwili wszedł Rzepka z naręczą bierwion, które znalazł w szopie. Dorzucali je do ogniska, by nagrzać wymrożone wnętrza, i pozywiali się w milczeniu. Radocha zadumany był, wciąż nachodziły go wspomnienia związane z tym miejscem. Opuszczona siedziba, skąd los wywiął ludzi, a pozostawił jeno mogiły, zda się zawsze grozić tym, co waży się zakłócić jej spokój. Może i dlatego Radocha postanawiał mieć się na baczności. Pacholek podrzemywał już, jedząc, Radocha, mimo że sam znużony i senny, kazał mu iść spać, a sam kiwał się przed ogniem, słuchając sennego pojękiwania Rzepki. Widno coś mu się złego śniło.

Przesiedziawszy kilka godzin bez innego ruchu jak dorzucanie suszu do ognia, wstał, by przeciągnąć zdrętwiałe członki, i skierował się ku stajni. Księżyc zaszedł, gwiazdy wskazywały, że północ już minęła, głucha cisza panowała dokoła. Zajrzał do koni. Niepokoiły się, snadź dręczyło je pragnienie. Żał mu było bydła, ale zbyt już był senny, by je napoić. Obudził Rzepkę, każąc mu czuwać do rana i o pierwszym świcie wyrąbać poidło, a sam ułożył się do snu.

Zasnął zaraz, ale jak na jawie wiedział, gdzie jest, tylko czas jakby się cofnął. Cekał na Krzycha, by wraz z nim ruszyć przeciw nadciągającym Krzyżakom i ogarniał go niepokój. Krzych już powinien się zjawić lub będzie za późno. Wreszcie usłyszał skrzyp kroków na śniegu i zgrzyt wrzeczadzy, z ciemności wyskoczył jasny prostokąt otwartych drzwi, a w nim oświetlona księżycowym światłem stała Terka. Jak na jawie dostrzegł najmniejszą zmarszczkę na jej starczej twarzy wykrzywionej złym uśmiechem.

Zerwał się, oblany zimnym potem, i otworzył oczy. Drzwi istotnie były otwarte, przez nie widniało zieleniejące już niebo. Zapewne pacholek wyskoczył po coś i drzwi za sobą nie zawarł. Ciągnęło od nich kąśliwe zimno.

Radocha zerwał się roztrzęsiony i zły. Szybko wkładał ciżmy, by wyjść i skłąć pacholka, gdy nagle ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk Rzepki i urwał się zaraz.

W półświatle wstającego dnia Radocha latającymi rękoma macał dokoła, szukając miecza, gdy otwór drzwi pociemniał. Radocha skoczył odtrącając stojącego w nich człowieka,

ale w tej chwili uchwyciły go liczne dłonie, obaliły na ziemię i wykręciwszy mu do tyłu rękę, wiązały je na plecach.

Radocha poniechał oporu. Spokojny już był. Koniec! Przy jasnym świetle wstającej zorzy poznał zakonnych knechtów. Od brodu szedł rycerz w białym płaszczu z czarnym krzyżem, obok niego brat służebny w płaszczu szarym. Zbliźali się bez pośpiechu. Gdy stanęli przed Radochą, rycerz coś rzekł cło służebnego brata po niemiecku, a ten przełożył:

— Gdzie reszta zbójów?

Jam jest pasowany rycerz — odparł Radocha — a zbójów tu nijakich nie ma. Chyba wy, coście mnie po zbójceku śpiącego napadli.

Rycerz zakonny widno rozumiał po polsku, bo okutą w żelazo pięścią wyciął Radochę w twarz, aż ten się zatoczył i pociemniało mu w oczach. Krzyżak wrzasnął łamaną polszczyzną:

— Gadać! Inaczej wisieć będziesz przed słońcem! Zbliżył wykrzywioną gniewem twarz do twarzy Radochy, który patrzył w nią, jakby zapamiętać chciał wroga, jego jasnorudawy zarost i małe, piwne oczy, błyskające złością i okrucieństwem spod okapu hełmu. Miał jasną świadomość, że na nic to, wszystko zdało mu się już nieważne, byle jeno jeszcze pomścić zniewagę. Zebrał w ustach ślinę z krwią z rozbitych warg i splunął w wytrzeszczone oczy. Zdał się nie czuć kopnięć i razów, gdy go wleczono pod studzienny żuraw. Rycerz zakonny chrapliwym głosem wydał jakiś rozkaz. Knechci wśród prześmiejców ściągnęli ramię żurawia w dół, zdjęli żerdź, a na jej miejsce wiązali powróż z pętlą.

Radocha patrzył na przygotowania. Wiedział, że śmierć od powieszenia jest krótka. Ale wołałby najcięższą, byle z bronią w rękę. Na rozważania jednak nie stało czasu. Uczuł pętlę na szyi i ostatnie, co widział, to knechtów ujmujących powróż przywiązany do drugiego końca żurawia. Potem coś poderwało go w górę i skończyły się rozmyślenia.

---

Radocha, łapiąc oddech, leżał na plecach i przez czerwoną mgłę wytrzeszczał przekrwione oczy. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest. Z wolna niebo błękitniało, a głosy dochodzące jakby z wielkiej oddali nasilały się. Wreszcie dosłyszał słowa:

— Dycha już?

Głos zdał mu się znajomy. Zebrał siły i usiadł. Znowu pociemniało mu w oczach, ale jeno na chwilę. Gdy przejrzał, poznał pochyloną nad sobą twarz Pizły i jego szorstki, zająkliwy głos:

— Jakoże ci?

— Nijako — odparł ochryple. — To ciebie tu, jucho, szukali?

— A mnie. Podesłałem im wieść, jako tu będę, bo komtur cenę na moją głowę naznaczył.

— Ciekawość, zaliiby i za moją zapłacił — mruknął Radocha.

— Zaśby płacili, kie im nie wadzisz. Mnieś się przydał, bo gdy się wiszaniem zabawiali, naskoczyliśwa, że ni jeden nie uszedł. A jakoże wiszanie?

— Nijako. Anim wiedział, kiem nic nie wiedział.

— Tedy ich wiszał nie będę. Niech wiedzą, że umierają.

Radocha powstał, choć chwiał się jeszcze na nogach. Sieknął, bo teraz dopiero poczuł, że bolą go wszystkie kości. Przez zaciśnięte zęby zapytał:

— Gdzie zaś oni są?

Obejrzał się i ruszył ku bramie, nad rzeczką, koło której stała gromada ludzi, otaczając powiązanych jeńców. Za bramą leżało kilka zwłok, w dole koło przerębli, wybitej w lodzie, jeszcze jedne. Radocha poznał w nich Rzepkę. Leżał na wznak z rozkrzyżowanymi rękoma, szklistymi już oczyma patrząc w pogodne niebo. Radocha stanął nad nim i mruknął:

— Aleś się, biedoto, na wojacze dorobił! Zawrócił i usiadł na kłodzie do zawierania bramy, patrząc, jak na rozkaz Pizły wśród wrzasków, błagań i lamentów, obdzierano jeńców

do naga. Tylko rycerz zakonny stał w milczeniu, ponurym, pełnym nienawiści spojrzeniem mierząc Radochę. Gdy dwóch ludzi pochwyciło go, by z kolei z niego zdjąć zbroję i szaty, krzyknął do Radochy:

— Zełgaliście, że nic nie wiecie o zbójach! Czy taka i to prawda, żeście pasowany rycerz?!

— Nic ci do mego pasa, skoroś mnie jak psa sponiewierał i obiesił — odparł obojętnie Radocha.

— Tyle mi, że na was spadnie hańba za zbójcekie obdarcie sługi Bożego.

— Bym nie był pasowan, ze skóry bym cię obdarł — syknął Radocha.

Wstał i odwrócił się plecami na znak, że nic go nie obchodzi, co się z jeńcem wyrabia.

Krzyżacy, choć przerażała ich myśl pozostania bez odzieży na mrozie, przecie wolni byli od bezpośredniej obawy o życie. Południową porą słońce dogrzewa już, może uda im się dotrzeć do jakiejś osady i zaopatrzyć w odzienie. Tego, co nastąpiło, nie przeczuwali. Gdy obdarto ostatniego, Pizło rozkazał:

— Pod lód!

Wskazał na przeręblę. Silne ręce porwały pierwszego z krają i, mimo że rzucał się jak oszalały, łbem naprzód wepchnęły w wodę. Wśród przekleństw i próśb o zmiłowanie chwymano jednego po drugim i zanurzano w przerębli. Rycerz zakonny stał blady, drżąc na całym ciele z zimna i strachu. Gdy przyszła na niego kolej, rzucił się przed Pizłą na kolana:

— Oszczędźcie mnie. Dam okup — wyjąkał.

— Ile? — zapytał Pizło.

Radocha zdziwiony odwrócił się i patrzył. Czyżby Pizło za pieniądze wyrzec się miał pomsty? Taką nadzieję powziął i zakonnik. Z wahaniem, patrząc niespokojnie, rzucił:

— Sto grzywien.

— Na tyle komtur mnie ocenił, choćem jeno zbój — odparł Pizło.

— Trzysta — poprawił Krzyżak szybko, widząc, że Pizło skinął na ludzi, by go brali. Twarz Pizły wykrzywił uśmiech.

— Skąd ubogiemu zakonnikowi taki pieniądz?

— Komtur zapłaci — wyjąkał Krzyżak, pomiarkowawszy, że Pizło drwi z niego.

— Za mnie by zapłacił i pięćset. A ciebie mu darmo odeślę. Tonczyzna do Wisły płynie, zasię Wisłą ani się obejrzysz, jak będziesz w Toruniu.

Gdy wleczono Krzyżaka, osłabłego z przerażenia, do przerębli, Pizło zawołał za nim:

— A pokłoń się komturowi od Pizły!

Krzyk przerażenia urwał się bulgotem wody.

Pizło kazał także trupy wepchnąć pod lód, wyrąbaną taflą lodu założyć przeręblę i nagarnąć śniegu. Za chwilę żaden ślad nie zdradzał jego okrucieństwa. Jedyne Rzepkę uparł się Radocha pochować, mimo że dużo czasu zbawiło wygrzebanie mogiły w ziemi, zmarzniętej na głębokość dwóch łokci. Koło południa już było, gdy wreszcie wyruszyli. Radocha, postępując, wgramolił się na konia. Gdy opuszczali gródek, obejrzał się i splunął:

— Przekłete miejsce, ino mogli przybywa. Żeby moje były, spaliłbym te budy.

— Zdadzą się jeszcze — odparł Pizło. — Mogił wszędy przybywa, a już najłaciej w krzyżackim somszedztwie.

— Po wtóry raz omal i mojej tu nie przybyło — mruknął Radocha. — Bo trzeciego próbował nie będę. A i tobie po co ten gródek, kie mamy swój, i lepszy?

Patrzył badawczo na Pizłę. Gdy ten nic nie odrzekł, Radocha jął opowiadać, co się przydarzyło pod jego nieobecność. Mówił, jak się stowarzyszył z Henrykiem, a z wojewodą Dobrogostem pociął.

Jechali wolno, by piesi mogli nadażyć, a Radocha po długim poście nie mógł się nagadać, choć spuchnięte wargi mu przeszkadzały.

Gdy wreszcie skończył, zapytał:

— A ty cóżeś działał bez ten czas?

— A co by? To, co zawždy.

— Gdy jednak Radocha zaczął rozpytywać, okazało się, że nie tylko toruński komtur miał powód żalić się na Pizłę. Grasował po Wiśle, od Torunia po Świecie, wyłapując statki zakonne i kupieckie, zapuszczał się i w ziemie krzyżackie aż po litewską granicę. W miarę jak go przyciskano w jednym miejscu, przenosił się gdzie indziej. Szczególną jednak opieką darzył gościniec między Toruniem a Inowrocławiem, którego niemieckie mieszczaństwo sprzyjało Krzyżakom. Gdy komtur nałożył nagrodę na jego głowę, w Inowrocławiu też puścił Pizło wiadomość, że zimuje w Krzychowym gródku nad Tonczyną, wiedząc, że mieszczenie o tym doniosą. Niedługo nawet się czaił i przyszedł w ślad za krzyżackim oddziałem w samą porę, by Radochę odciąć z powroza.

Miał też już Pizło wieści z Litwy, nad którymi Radocha zamyślił się mniemając, że zdałoby się donieść je księciu Włodzisławowi. Henryk von Plotzke spalił zbudowany przez Witenesa kościół misyjny w Nowogródku, nie oszczędzając i duchowieństwa, które miało wiarę chrześcijańską szerzyć na Litwie; dowód dla Kurii na stawiane Krzyżakom zarzuty, że przeszkadzają nawracaniu pogan, by nie stracić pozoru do zagarniania cudzych ziem. Nie szczęściło im się zresztą w tej wyprawie i von Plotzke na czele kilkunastu jedynie ludzi wrócił do Malborka, bo rozbitych w powrotnej drodze wyniszczyła sroga zima i głód. Pizło sądził, że teraz pora najlepsza, by Krzyżakom dopiekać, nim się pozbierają po klęsce.

Radocha strzepnął palcami:

— Widno bez to wieszanie zabyłem ci rzec, że książę kazali ninie Krzyżaków poniechać, by się wzajem przed papieżem skarżyć nie mogli, że i my nie po rycersku i nie po krześcijańsku wojujem.

— Tedy szkoda, zem cię odciął. Mieliby książę jeszcze jeden dowód przeciwko nim.

— Idź do biesa! Jeno by na mnie nie było, coś uczynił. Zawždydym pasowany rycerz i ksiązęciu posłuch winienem.

— Tego, com ninie uczynił, ni pies nie wywęszy, A jam ksiązęciu nic nie powinien.

Radocha kręcił się w siodle, nie wiedząc, jak podejść do Pizły, by znowu się nie zbiesił. Zaczął:

— Skoro z ksiązęcego nadania siedzim na gródku, posłuch winniśmy, jako w pergaminie stoi, a juści że na mnie pójdzie to, co uczynim.

— Któże ci rzekł, że razem siedzieć będziem? Radocha wstał w strzemionach i z sykiem wciągnął powietrze:

— Cóże do biesa! Boguszki nie ma, baby nie wezmę, gródek jest, jakiegoś chciał. I czegoż ci jeszcze, stary capie? Mam cię po rękach całować? Mało ci, że mnie obwiesili bez to, zem ciebie szukał?

— Szukałeś? Mniemałem, że nie stoisz o mnie, kiejś ninie pasowany rycerz.

— Głupiś. Tak mi bez ciebie, jako tobie beze mnie. Cóże się kazesz prosić?

Przygarnął Pizłę, że mało go nie wyciągnął z siodła, i pocałował w dziobatą twarz. Pizło spuścił kose oczy. Po chwili rzekł nieswoim głosem:

— Jak długo żywię, jeszcze mnie nikt w gębę nie pocałował.

— Bo paskudną masz. Ale ja nawykłem.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Radocha pierwszy wrócił do poprzednich spraw:

— Pomsta pomstą, ale cóż my czynim? Po łydkach gryzłem psubratów. Od tego nie zdechną.

— Łacniej od tego niżli od lizania — mruknął Pizło.

— Chytrością ich Włodzisław chycić zamyślają za grdykę, skoro siły brak. A gdzie jej ksiązęciu szukać? Mieszczany się buntują, dzielnicowe książątka podeszwy liżą Krzyżakom, nie z życzliwości — to ze strachu albo i dla pieniądza. Wielmoża każdy swego patrzy, jako Nałęczce, co zabór Pomorza uznali, majątności, jakie tam mieli, pozbywszy.

— A rycerstwo to lepsze? — wtrącił Pizło. — To, co na Pomorzu zostało, by się przy majątnościach utrzymać, słucha jako pies rogu. Ani mu we łbie nie postoi, by się przeciwzić, że tam każdy komtur sądzi i rządzi, gospodarzy, a podatki ciągnie.

— Widzis! Kto ci z książęciem trzymać musi, na wierzchu jest, zali na dole, bo nas inak psubraty ogryzą ze szczętem. Książątka, wielmoże a rycerstwo jakoś ta się z nimi ułożą zawždy. A prosty naród cierpi, gdy go jako bydło wraz z ziemią przedają i kupują.

— Wždyś pasowany rycerz — wtrącił Pizło. — Ułożysz się i ty.

Ale Radocha zeźlił się:

— Chłop jestem! — krzyknął. — I bez to za nic mnie mają. A pas mi jeno po to, by mnie nie kapowali ni przedawali.

— Mnie po to ni pas niepotrzebny, ni pergamin, jeno żelazo w garzci — warknął Pizło.

---

Radocha, korzystając, że ma komu pieczę nad gródkiem zostawić, wybierał się z wieściami do księcia, a po trosze rozmyślał także, czyby korzystając ze spokojnego czasu nie udać się wraz z księciem do Krakowa, by znajomków odwiedzić. Piźle o tym nie wspominał, bo i sam wahał się jeszcze, a miarkował już, że Pizło zawistny jest o wszystko, co ich dzielić mogło. Dobrze się stało, że nie wyjechał, nagłe bowiem odwilże przy niezwyklej obfitości śniegu zamieniły cały kraj w bagna i jeziora, wezbrane wody pozrywały mosty, brody stały się nieprzebyte, a drogi przepadliste. Gdy wody wreszcie spłynęły i ruszyć się było można, przyszła wiadomość, że Łokietek dawno z Brześcia wyjechał. Z początkiem marca zmarł arcybiskup Jakub [przypis: *arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka (zm. 4 marca 1314 r.)*] i książę [przypis: *Władysław Łokietek*] jeździł na pogrzeb do Gniezna, gdzie parę dni zabawił, by sprawę wyboru Borzysława [przypis: *następca abpa Jakuba Świnki; abp gnieźnieński w latach 1316-1317*] przygotować i przyspieszyć, po czym w powrotnej drodze jeno zawadził o Brześć, ciągnąc rzemiennym dyszlem kędyś w Sandomierskie, tak że nie wiadano, gdzie przebywa obecnie.

— Śmierć arcybiskupa, choć dawno spodziewana, nowych trosk przysporzyła księciu. Choćby nie przewlekał się wybór następcy, przecie elekt do Awinionu jechać musi po paliusz, a tam spotkać się może z Muskata [przypis: *Jan Muskata, biskup krakowski w latach 1294-1320, przeciwnik Łokietka, stronnik Wacława II i Wacława III*]. Wprawdzie krakowski biskup po śmierci legata Gentyliisa nie mógł znaleźć poparcia w Kurii dla siebie, ale szkodzić potrafi, powodując i dodatkową zwłokę w załatwieniu polskich spraw, i dalsze rozprzężenie Kościoła w Polsce, a zwłaszcza stołecznej diecezji, od lat już pozbawionej ordynariusza. Wszystko to zaś wiązało się ze sprawą zamierzonej koronacji, której Łokietek nie spuszczał z oka, mimo że i wielu innych ważnych spraw nie brakło.

— Ciągnąc pomału do stolicy, książę często rozmyślał nad tym, co mówił zmarły arcybiskup. Jeno czy pyszny a zawzięty Muskata uczyni pierwszy krok? Bez tego sprawa z nim jątrzyć się będzie nadal, powodując dla obu stron nieodwracalne szkody.

— Ta sama troska nie opuściła arcybiskupa niemal do ostatniego tchnienia. Gdy wieczorem przed śmiercią po raz ostatni przystąpił do Stołu Pańskiego i pożegnał podwładnych i domowników, kazał jeszcze pozostać notariuszowi. Słaby był tak, że nawet już cierpień nie czuł, ale myśl miał jasną i trzeźwą. Gdy notariusz usiłował go nakłonić, by starał się zasnąć, odparł szeptem:

— Zaraz zasnę. Teraz pisz!

— Ledwo dosłyszalnie, jakby mocując się z każdym słowem, zaczął dyktować:

— „Drogi Synu! Zanim zaśmiejesz się, że Cię tak zowie, jakoś zwykł czynić słuchając moich słów, pomyśl, że mówię do Ciebie po raz ostatni i już z za grobu. Prędeż bowiem dusza moja dojdzie przed Boży Tron niż to pismo do rąk Twoich. Z życia nie zostało mi już nic, nawet cierpienie”.

— Jakub umilkł i długo zbierał siły, nim podjął:

— „Wiem, że od chwili, gdy objąłeś krakowską stolicę, nigdy nie chciałeś uznać we mnie swego pasterza. Gdy to czytasz, już nim nie jestem, jeno zwykłym grzesznikiem, który stoi przed Bożym Sądem. Nie mówię tedy do Ciebie jako Twój metropolita, nic ziemskiego nie ma ci już mojej myśli, nawet gniew na Ciebie. Jako mówi święty Paweł: «Niech słońce nie zachodzi nad gniewem waszym». A tym bardziej słońce żywota”.

— Jakub znowu przerwał i milczał tak długo, że notariusz zwątpił, czy jeszcze się odezwie. Ale głos arcybiskupa nawet silniejszy był:

— „Pojednałem się już z Bogiem i ludźmi, prosząc o wybaczenie, jeśli w czym zawinił. Ale Ciebie nie proszę o wybaczenie, i z zem jako tram leżał na drogach Twoich. Na nich bowiem jeno spustoszenie i zagłada. A Ty pomnij, że Dzień Pański zwykł przychodzić jako złodziej znienacka, i Bóg może nie da Ci tej łaski, dał mnie, pozwalając wiedzieć, że jutrzejszego słońca już nie obaczę. A straszna to rzecz bez przygotowania wpaść w ręce Boga żywego. «Jako was zastanę, tak i sądzić będę» — rzekł Chrystus. I Twój wiek dobiega już końca, wkrótce sam zrozumiesz, równie jasno jak ja, że prawdą jest, iż niceśmy na ten świat nie przynieśli i nic też wynieść nie możemy. A jedno, co po nas zostaje, to garść prochu i skutki czynów. Ty cóżeś wysłużył służąc sobie? Hańbę i wygnanie. Pomyśl, czy gdy przyjdzie Twoja godzina, będziesz mógł rzec z Ewangelistą: «Gdzież jest, śmierci, oścień twój?» Ale gdy zniknie grzech, zniknie i kara. By jednak powstać, każdy tam podeprzeć się musi, gdzie upadł. Nikt nie stanie się takim, jakim być winien, jeśli nie znienawidzi siebie takiego, jakim jest”.

— Głos Jakuba przeszedł znowu w szept, chwyciła go zadyszka, ale ciągnął wiedząc widocznie, że to już ostatnie jego słowa:

— „Ty jednak nienawidzisz tego, co zdeptał pychę Twoją — książe Włodzisława. Zbyt rozumny jesteś, byś nie pojmował, że już przegrałeś. Nie przeszkodzisz mu w drodze do jego celu, który i moim był za żywota. Ale jak swąd piekielnego ogniska za zdeptaną pychę wlecze się zawiść, że on rośnie, gdyś Ty zmałał. Bo choć i jego dzieło poczęło się w żądzę i pyszę, oczyściło się w mądrości i miłości do kraju, który i Twoim był, zanim się go odrzekłeś. Kto zaś umiłowal to, czego mu odebrać nie można, niewyciężony jest. Dlatego umieram spokojny, że nikt, a najmniej Ty, nie zdoła Włodzisławowi przeszkodzić, by dokonał, co rozpoczął. A jak jego pokory nauczyło wygnanie, tak wierzę, że nauczyło i Ciebie. Pomnij, że upadł i Piotr, by zbyt wiele nie mniemał o sobie, spoliczkowany był Paweł, by się nie wynosił. Przed Bożym Tronem modlę się o łaskę pokory dla Ciebie, a gdy wysłuchany zostanie, pomódl się i Ty, Synu, za moją duszę”.

— Ostatnie słowa były już niemal niedosłyszalne. Jakub umilkł i ciszę przerywał tylko jego płytki i przyspieszony oddech. Notariusz sam już zakończył:

— „Dan w Uniejowie Roku Pańskiego 1314 dnia trzeciego marca”. — Może już czwartego, bo drugie kury pieją. Potem kanonik rozgrzał wosk nad świecą i zawiesił go u spodu pisma, słuchając coraz cichszego, zamierającego oddechu Jakuba. Sięgnął po pieczęć, ale naszała go wątpliwość, czy ma jeszcze prawo ją przyłożyć. Wyjąwszy świecę ze świecznika, zbliżył ją do twarzy arcybiskupa. Nie było w niej już życia, ale jeszcze słaby oddech zachybotał płomieniem. Notariusz wycisnął pieczęć, po czym ukląkszy przy łożu, włożył świecę w zimną już, pokrzywioną dłoń i podtrzymując ją, rozpoczął modlitwy za konających.

— Świeca dopalała się niemal, gdy wstał, zdmuchnął ją i, przeciągnąwszy się, wyszedł zawołać domowników, by po raz ostatni przybrali arcybiskupa w szaty liturgiczne. Niebo już jaśniało na wschodzie.

Wieść o śmierci arcybiskupa Jakuba doszła Henryka z Wierzbna [przypis: *biskup wrocławski w latach 1302-1319, przeciwnik Łokietka i abpa Jakuba Świnki, stronnik biskupa Muskaty*] w drodze powrotnej z Awinionu, gdy pod koniec sierpnia zatrzymał się



w Hildesheimie. Niedawno przejeżdżał tędy nowo obrany metropolita Borzysław, który nie wiedząc o śmierci Klemensa V [*przypis: zm. 20 kwietnia 1314 r.; papież od 1305 r.*], udawał się do Awinionu po paliusz. Henryk, zaniósłszy nowinę Muskacie, dorzucił:

— Nie będzie nam przeszkadzał, a Łokcia przed kościelnymi cenzurami osłaniał. Niech jedzie, nieprędko wróci. Nie bez tego, by Włodzisław [*przypis: chodzi o Łokietka*] przez niego o koronę nie zabiegał, nie wydoli dłużej wyroku legata i ekskomuniki lekce sobie ważyć. A ty możesz wracać do Krakowa.

Muskata nic nie odrzekł. Przeżyte upokorzenia wzmogły w nim drażliwość. Zdało mu się, że Henryk pozbyć się go chce. Wie, że Łokietek jest równie obrotny jak zacięty. Jeśli wpuści biskupa do Krakowa, to jeno za cenę całkowitego poddania. Póki wakuje stolica Piotrowa i tak Borzysław sprawy koronacji nie załatwi, książę może czekać. A Muskata musi. Henryk jego do nieustępliwości nakłania, a sam ukorzył się nie tylko przed Kurią, ale przed własnym kanonikiem — Guenterem z Bibersteinu. Przywrócił mu beneficja i urzędy, szkody wynagrodził, ustępując klucz Wiązów. Gdyby Henryk parł do ugody, też by go podejrzewał, że pozbyć się chce druha. Muskata stawał się nieufny. Rad nierad jechał jednak do Wrocławia, bo Henryk stanowił jego ostatnie oparcie. Gdyby wyjechał do swych niewielkich śląskich posiadłości, Henryk z Wierzbna przestanie się jego sprawą zajmować.

Śmierć arcybiskupa wywołała w Muskacie zamęt. Miał radości, że usunął się nieugięty przeciwnik, odczuł jakby zawód. Gdyby teraz udało mu się nawet wprowadzić na polski tron obcego księcia, Jakub już tego nie ujrzy ni dowie się, że trud jego życia był daremny.

Nie dożył jednak także triumfu Łokietka. Ciężko musi być umierać, porzucając nie dokończone dzieło. Ale ciężej chyba na jego gruzach. Myśl o śmierci znowu nasza Muskate. Jeśli ma jeszcze czegoś dokonać, musi się spieszyć, a przed nim znowu jeno bezczynne czekanie. Łokietek zaś działa: zajął Poznań. We Wrocławiu powitała biskupa wieść, że wojewoda Dobrogost Nałęcz rozbił pod Kłeckiem śląskie wojska Janusza z Bibersteinu, cała Wielkopolska znalazła się w ręku Włodzisława, który wyruszył już tam, by nagradzać i karać. Pyzdry i Kalisz otrzymały nowe przywileje i potwierdzenie starych, Poznań stracił samorząd. Łokietek skonfiskował wójtostwo i majątności zbuntowanych, ich samych wygnał. Nie było jak w Krakowie okrutnych kar, widocznie książę dość silny się czuje, by nie nadrabiać srogością. Umiarkowanie sprawiło, że niemieckie mieszczaństwo na równi z polskim przeszło na jego stronę. Muskata czuł, jak usuwa mu się jeszcze jedna podstawa, na której budował. A jednocześnie Jan Luksemburski, wygnany z Czech, poniechał starań o niemiecką koronę dla siebie i popierał ją Wittelsbacha. Na wzajemne jego poparcie czekać jednak musi, aż rozstrzygnie się walka o tron niemiecki między nim a wybranym przez mniejszość elektorów Fryderykiem austriackim. Łokietek zaś nie omieszka wykorzystać rozdziwienia w Niemczech. Grać umiał zawsze, nawet gdy nie miał czym.

Gdy list zmarłego metropolity doszedł do rąk Muskaty, biskup nie śmiał się. Czytał go w zmieszaniu, które przeszło w gniew: Jakub troszczy się o zbawienie jego duszy?! Złamać go nie zdołali przemocą ni podstępem — Jakub straszyć go umyślił zza grobu. Czemuż to nie troszczy się o duszę Włodzisława, krzywoprzysięzcy i przekłennika, a choćby i o krewniaka swego, Henryka z Wierzbna? Czy jest lepszy od Muskaty? Też nie brak krwi na jego rękach, cel mają taki sam: własne wyniesienie przez związek z obcym.

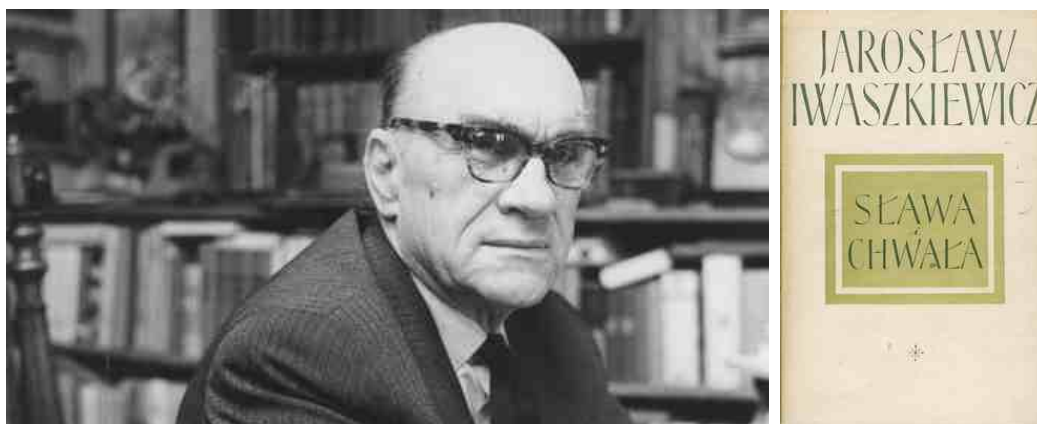
Biskup zmiął pergamin i cisnął. Potem podniósł go. Długo siedział, usiłując uspokoić wzburzenie. Serce podchodziło mu do gardła, chwytala go duszność, przed oczyma tańczyły ognistoczerwone płaty, a myśli kotłowały się bezwolnie, jak liście wichrem jesiennym pędzone.

Upokorzyć się ma! Aż do bólu droczyło go samo wspomnienie tego uczucia, które po raz pierwszy w życiu poznał w lochu wawelskiego zamku. Nie nęcza i poniewierka, ale poczucie bezsily i strachu wobec nienawiści rudowłosego pachołka, której przyczyny nawet uprzytomnić sobie nie mógł. Na granicy świadomości, wśród błahych wspomnień kołatało się jedno, niejasne. Daro silił się wydobyć je na powierzchnię pamięci. Widział tę płomienistą czuprynę gdzieś nisko. Dałby kilka lat życia, których już mu niewiele pozostało, by raz jeszcze ujrzeć tę głowę u swoich stóp. Pewny był, że widział znowu tego pachołka, gdy wraz z Henrykiem wjeżdżali do Wrocławia. W tysięcznym tłumie poznał go od jednego rzutu oka. Nie mógł się pomylić, skoro zauważył go i biskup Henryk, który raz jeno widział Ostróżkę u dominikanów w Krakowie, gdy ten wtargnął, by porwać Muskate. Zgadali się o tym i Henryk kazał szukać w mieście Ostróżki.

# Jarosław Iwaszkiewicz (1894-1980)

Wybitny pisarz (prozaik, poeta, dramaturg, eseista), tłumacz i librecista, w XX-leciu współtwórca grupy poetyckiej „Skamander”, współpracownik „Wiadomości Literackich”, wieloletni redaktor naczelny „Twórczości”, poseł na Sejm PRL, prezes ZLP.

**Wybrane utwory:** zbiory wierszy: *Oktostychy* (1919), *Dionizje*, *Powrót do Europy*, *Ciemne ścieżki* (1957), *Mapa pogody*; **opowiadania:** *Panny z Wilka* (1932), *Młyn nad Utratą* (1936), *Stara cegielnia*, *Młyn nad Lutynią* (1946), *Nowa miłość i inne opowiadania*, *Nowele włoskie*, *Tatarak i inne opowiadania*, **powieści:** *Czerwone tarcze* (1934), *Pasje Błędmirskie* (1938), *Wycieczka do Sandomierza* (1953), *Kochankowie z Marony*, *Sława i chwała* (1956-1962); **dramaty:** *Kochankowie z Werony*, *Lato w Nohant*, *Maskarada*; **libretto operowe:** *Król Roger* (1926); **inne:** korespondencja, wspomnienia. (Wikipedia)



## Z powieści SŁAWA I CHWAŁA (z tomu I)

Z części II „Ścięte drzewa”

V. (fragment)

Dom, w którym mieszkali Wołodia i Ariadna — olbrzymia czynszowa kamienica — stał w okolicach dworca. Tam na piątym piętrze mieściły się dwa małe pokoiki z kuchnią, w którym mieszkali Tarłowie. Kiedy Janusz zapukał do drzwi, otworzył mu młody człowiek, którego nie poznał w pierwszej chwili. Był to Niewolin — w oficerskiej „rubaszce” bez odznak. Wszedł za nim do małego pokoiku. Przy owalnym stole siedzieli Tarłowie i Walerek. Pili wódkę i herbatę, na zatłuszczonych gazetach leżały kawałki kielbasy, czarnego chleba i słoniny. Wszyscy powitali go okrzykami.

— Chodź, chodź, dobrze, żeś przyszedł! — zawołał Wołodia. — Walerek przywiózł nam ze wsi kielbasy i chleba. Wódka odeska!

Janusz był bardzo zdziwiony.

— Skąd ty się tu wzięłeś? — spytał Walerka.

Walerek — był to już młodzieniec pod wąsem, wysoki i bardzo przystojny — odpowiedział coś nieokreślonego.

— Gdzie mieszkasz teraz? — spytał go jeszcze Janusz.

— Czasami nocuję tutaj.

Ariadna siedziała trochę zasłonięta wielkim miedzianym samowarem, odwrócona plecami do nikłego zimowego światła przenikającego przez małe i bardzo brudne okno. Janusz, odpowiadając na pytania i sam dużo (jak na niego) mówiąc, nie mógł zorientować się w wyrazie jej twarzy. Miała na sobie prostą granatową suknię. Gdy wstała raz, aby pójść po coś do kuchni, zobaczył, że ma wysokie sznurowane buty wiśniowożółtego koloru. Stukała wysokimi obcasami. Nie mógł oderwać wzroku od tamtej strony, gdzie ona siedziała. Ariadna wydała mu się znowu inna i znowu nie taka, jaką ją sobie wyobrażał w ciągu tych ostatnich kilku dni.

Niewolin zachowywał się jak u siebie w domu. Rozmawiano oczywiście o polityce.

Wołodia wyszedł do drugiego pokoju i przyniósł Januszowi niedźwiedzia z kopenhaskiej porcelany, który stał dawniej na biurku jego ojca.

— Patrz — powiedział — wydostałem to dla ciebie z palącego się w domu w Mańkówce.

— Więc dom się spalił? — spytał Wołodia.

— No, a ty myślałeś, że co? Skoro się zapalił, to się i spalił...

— Oczywiście — bąknął Janusz.

A ojca pochowaliście koło kaplicy? — spytał Wołodia.

— Tak. Przecie wiesz...

No, tak — mruknął Wołodia i poprosił siostrę o jeszcze jedną szklankę herbaty.

Janusz przez chwilę milcząc przypatrywał się Wołodi. Zgrubiał teraz, był tęgim, czerwonym na twarzy mężczyzną, ale miał światłe oczy, zawsze te same, pod tymi samymi czarnymi brwiami.

— Wiesz, nie bardzo rozumiem, co ty tam robił? — powiedział Janusz do Wołodi.

— Ja też nie bardzo rozumiem — wymijająco odpowiedział Wołodia.

— Jak to: co? — spytała nagle z entuzjazmem Ariadna — pomagał rewolucji!

— Czy rewolucja polega na paleniu domów? — spytał Janusz.

— Także i na paleniu domów — poważnie odpowiedział Wołodia.

— Wiesz? A Molińce stoją! — zawołał Walerek przez stół do Janusza. Janusz zrozumiał, że Walerek wypił dużo wódki.

— Nie bój się, już ty tam nie wrócisz — nie patrząc na niego powiedział Wołodia.

— Kto wie, kto wie? — śmiejąc się zapytał Walerek. Wołodia nie zwrócił na to uwagi.

— Po ostatnim przewrocie w Piotrogradzie rewolucja weszła na nowe tory...

— Tak myślisz? — spytał Janusz, który nie bardzo się orientował w zagadnieniach politycznych.

— W każdym razie — poparł swój wywód Wołodia — powrotu nie ma i nie może być.

— Wszystko trzeba budować na nowo — z tym samym entuzjazmem zawołała Ariadna.

Janusz popatrzył na nią niepewnie. Niewolin zjadał ją oczami. Po pewnym czasie mężczyźni wstali.

— Musimy iść.

— Tylko, Wołodia, ostrożnie — patrole Rady krążą dzisiaj gęściej.

— Nie zauważyłem — wtrącił Janusz.

— Papiery mam w porządku.

— Walery, nocujesz dzisiaj? — spytała Ariadna.

— Nie, dziś nie — zawołał głośniejszym głosem, niż trzeba było, Walerek i nagle poczerwieniał.

Janusza zastanawiała zmiana, jaka zaszła w Walerku. Widział go nie tak dawno, latem przyjeżdżał jeszcze do Moliniec. Rumieniec miał żywszy, a czarny puch pod nosem odznaczał się wyraźniej.

— Gdzież to idziesz? — zapytał go. — Dlaczego nie przychodzisz do Szyllerów?

— Cóż ja bym tam robił? — wzruszył ramionami Walerek. — Tam bez muzyki ani rusz. A ja nie potrafię grać nawet na bębnie, nawet na pianoli, jak twój ojciec.

Dopiero kiedy Walerek wyszedł do przedpokoju i wrócił, Janusz spostrzegł, że ma on na sobie płaszcz porucznika armii Centralnej Rady i czapkę z granatowym otokiem.

— Jesteś w wojsku? — zapytał.

— A cóż mam robić... muszę... — mruknął Walerek.

Niewolin nie odezwał się do Janusza ani słowem przez cały czas. Rozmawiał tylko z Ariadną i Wołodią, teraz pożegnał się z nim ceremonialnie, szastając obcasami. Panowie wyszli. Janusz został sam z Ariadną.

— Może przejdziemy do mojego pokoju? — spytała Ariadna.

Tamten pokój był jaśniejszy i lepiej urządony. Na łóżku Ariadny leżał biały muślin, a przy łóżku stał głęboki fotel, na którym umieściła się Tarłówna na wprost okna, tak że całe światło biło na jej twarz. Janusz siadł na niskim stołeczku pod oknem i patrzył teraz swobodnie na swoją przyjaciółkę.

— Te meble to są jeszcze z naszego dawnego mieszkania. Jedyne, jakie ocalałam, kiedy przenosiłam się do Wołodi. Papę zabili, pan wie? Zastrzelili go na ulicy, zaraz po wybuchu rewolucji. No, i tak sobie mieszkamy — dodała dość nerwowo, widząc, że Janusz patrzy na nią bez przerwy i nic nie mówi. — Dlaczego pan tak patrzy na mnie?

— Szukam w pani twarzy rysów, które znałem. Które potem towarzyszyły mi w niejednym śnie.

Ariadna zaśmiała się.

— No, i widzi pan, teraz trzeba wszystko budować na nowo. Wołodia wierzy w rewolucję, no, i ja uwierzyłam. Pracujemy teraz dla rewolucji, ukrywając się przed Centralną Radą — on, ja i Niewolin...

— Czy i Walerek także?

— On? Tego ja nie wiem. On jest u tamtych. Ale to dobry chłopak. I pan wie, nigdy jeszcze nie byłam tak szczęśliwa. Bo, widzi pan, pracuje się tutaj dla przyszłości, dla narodu, dla wszystkich ludzi na świecie. Pan wie, my oczekujemy bolszewików tutaj. Wojna domowa musi się skończyć ich zwycięstwem. Centralna Rada to zawracanie głowy, i ta cała republika ukraińska. To burżuazja. Oni tu niewątpliwie przyjdą. Wołodia mówi, że w grudniu, styczniu już będą. Więc my tu dla nich przygotowujemy grunt, Wołodia, Niewolin, oni chodzą na zebrania, mają swoich ludzi u marynarzy, u robotników portowych, bo Wołodi przydzielili do roboty portową dzielnicę, mają broń, zbierają jeszcze. Wszyscy tu są gotowi do prawdziwej rewolucji... Bo tamta, Wołodia mówi, diabła warta, tyle co nic. I Rząd Tymczasowy, i Kiereński upadł, no, i ta Konstytuanta, dobrze, że ją rozpędzili! No, i teraz nowe życie, sprawiedliwe życie! — Wszystko to mówiła Ariadna jakimś sztucznym, nieswoim głosem. Jakby słowa przychodziły do niej z budki suflera. Wreszcie dodała: — Pan z nami, prawda? Bo ja myślę, że pan jest taki entuzjasta, pan tak we wszystko wierzy, pan pójdzie z nami do portu, ja to jakoś zawsze czułam intuicyjnie, ile razy pomyślałam o panu...

— A pani o mnie myślała?

— Myślałam.

— Przez te długie lata?

Janusz sam nie wiedział, jak z tego niskiego stołka znalazł się tuż obok Ariadny, klęczał obok niej i ręce położył na jej kolanach.

— Przez te długie lata? — powtórzył. — Pani nie wie, czym były dla mnie te długie lata, nie było dnia, nie było godziny, żebym o pani nie pomyślał. I przez to pani stała się czymś nierealnym, wymyślonym, czymś nierzeczywistym... Nie mogę sobie uprzytomnić, I don't realize, że to pani jest przede mną. Trzy lata temu pani miała zupełnie inną twarz, bez tego uśmiechu, pani teraz jest zupełnie inna, ale i ja

jestem inny, nowy. Ja będę z wami pracował, ale pani mi powie, co ja mam robić... Niech mnie pani wynagrodzi za te wszystkie lata męki, za ten strach, że ja pani nigdy nie zobaczę, za to upokorzenie miłości...

Ariadna pochyliła się nad nim i widział teraz wyraźnie tuż przed sobą jej oczy, z których jedno zachodziło jakąś mgłą niewidzenia czy szaleństwa. Otwierała i zamykała wargi jak ryba wyrzucona na brzeg wody. Pochylała się coraz bliżej, ale on nie poruszał się, tylko patrzył w jej oczy.

— A więc kocha mnie pan?

Wargi jej wymówiły słowo „lubicie”, jakby zaczerpywały wody po kropelce. Janusz z dreszczem wewnętrznym powtórzył:

— Kocham, kocham, kocham, kocham.

Ciało jej było czymś tak nieoczekiwanym, niezwykłym, czymś utkanym z zupełnie niewiadomej mu materii. Każde dotknięcie — dotykał powoli i nieśmiało — było objawieniem nieznanego krain. Mimo iż przez tyle nocy wyobrażał sobie Ariadnę — tego jednak nie potrafił sobie wyobrazić, to przechodziło jego możność nie tylko wyobrażania, ale nawet odczuwania. Nie wiedział, co począć, osłabł nagle i leżał z głową potarganą, wtuloną w piersi kobiety, pierwszej kobiety. Ariadna musiała przejąć powoli inicjatywę, wzniesić tę głowę ku sobie i połączyć swe wargi z jego wargami. Pocałunek wydał mu się czymś niedobrym, nieoczekiwanym, poza programem życia, i leciał gdzieś w to całowanie jak w przepaść. Nie wiedział, że człowiek może przeżyć coś podobnego, że posiadanie ukochanego ciała może być czymś tak nieodpowiedzialnym i że krawędź miłości jest krawędzią życia, poza którą jest już tylko nieskończone spadanie w przepaść śmierci.

### VIII. (fragment)

Ariadna przeżywała znowu inną fazę. Była teraz na pół umundurowana, nosiła na głowie ogromną papachę i chodziła na wiece i zebrania, gdzie przemawiała i deklamowała rewolucyjne wiersze. Teraz wchodził w modę Majakowski i, jak dawniej lekko przeciągając akcenty mówiła śpiewne wiersze Błoka, tak teraz starała się głośno wołać rzucając tłumom urywane wiersze Majakowskiego. Janusz, który ją słyszał parę razy, przyznawał, że wołał, gdy deklamowała Błoka.

Janusz teraz często był u nich, więcej czasu spędzał u Tarłów niż u Szyllerów, gdzie zjawiał się tylko na noc, i to dosyć późno. Ale rzadko kiedy zastawał wszystkich razem zebranych na Dworcowej. Najrzadziej właśnie Ariadnę, i nigdy już prawie nie spotykali się samotnie. Przychodziła przed samą godziną policyjną — albo rozbawiona i z pałającymi policzkami, opowiadająca o ostatnim zebraniu, albo chmurna i spokojna, i nie mówiąca ani słowa. Wołodia przynosił z sobą w nieodłącznej teczce stosy papierów, które przeglądał z zafrasowaną miną, siedząc przy stole w pierwszym pokoju, a w drugim Ariadna z Niewolinem i Januszem wymieniała skąpe wyrazy. Stała się jakaś nieufna i zachowywała się tak, jak gdyby Janusz ją zdradził.

Walerek teraz przemykał się ulicami Odessy w bardzo niepozornym cywilnym ubraniu. Wołodia mimo całą swą rewolucyjność wyrobił mu jakieś fałszywe papiery i fikcyjną posadę w jednym z doków portowych. Spychała nie wychodził z domu i nie widać go było na mieście. Niewolin siadywał długo wieczorami u Tarłów: mieszkał teraz gdzie indziej, ale miał nocną przepustkę.

Janusz do tego stopnia myślał tylko o Ariadnie i jej zachowaniu, że najważniejsze sprawy go nie obchodziły. Księżna Muszka, u której mieszkała Bilińska, została zaaresztowana wraz z najstarszym synem. Maria przychodziła do Janusza z prośbą o wstawienie się za księżną u Wołodi. Zdziwił się tą prośbą.

— Co cię to obchodzi? — pytał. A potem przerzucił się na inny temat: — Co się dzieje ze Spychałą? Nie widziałem go od dawna.

— Nie wiem — mówiła niechętnie księżna.

Wieczorami i nawet w nocy wracał od Tarłów bez przepustki, a gdy natykał się na patrol, z tak rozbijającą miną powiadał, że nie ma „propuska”, iż najczęściej puszczano go w spokoju. Zresztą jak zwykle w takich razach miał szczęście i patrole zaczepiały go bardzo rzadko. To, co czuł wtedy wracając w nocy przez zupełnie puste i słabo oświetlone ulice Odessy, nie dawało się skonkretyzować. Z jednej strony istniało dla niego tylko jedno: Ariadna, z drugiej, gdy patrzył na ciemne domy i twarz mu muskał wiatr od strony portu, i od czasu do czasu dolatywał go głuchy odgłos dalekiego wystrzału — budziły się w nim jak gdyby jakieś nie wyraźne wyrzuty sumienia. Zapytywał sam siebie: co ja tutaj robię? Bilińska namawiała go, aby wstąpił do korpusu Dowbór-Muśnickiego, ale na to nie miał ochoty. Spychała asystował przy tej rozmowie wyszedłszy ze swojego ukrycia na krótką chwilę. Bynajmniej nie podtrzymywał propozycji Marii i nie nalegał na to, aby Janusz przedzierał się do Dowbora.

— Będzie miał tutaj może jeszcze co innego do roboty powiadał.

Pewnego wieczora Ariadna wróciła do mieszkania w towarzystwie francuskiego oficera, członka jednej z niezliczonych misji wojskowych, jakie w tym czasie bawiły w Rosji. Zbliżała się epoka pokoju brzeskiego i Francuzom ziemia paliła się pod nogami, nowy znajomy Ariadny przemyślał najwidoczniej nad tym, jakby i dokąd zwiać. Nazywał się Maurice Delattre i nie wiadomo, skąd Ariadna go sprowadziła, gdzie go spotkała i jakie ma zamiary. Wyglądał zresztą dość interesująco; gdyby nie piekielna chudość, byłby nawet przystojny. Miał wielkie, czarne oczy, którymi błyskał zalotnie, kobiety zdawały się go interesować.

Podkreślał swoim sposobem bycia, że przyszedł na Dworcową jedynie jako znajomy Ariadny. I Wołodia, i Niewolin zachowywali się w stosunku do niego z wyrafinowaną i chłodną grzecznością. Ale Ariadna pyszniła się nim jak okazem egzotycznego zwierzęcia. Zdobywała z wielkim trudem pszenną mąkę (w czym jej Janusz pomagał) i piekła dla niego ciastka. Francuz zrazu przychodził co trzy dni, potem stał się codziennym gościem. Zjadł cały zapas konfitur, jaki miała jeszcze Ariadna z domu. Janusz posunął się do tego, że poprosił panią Szyllerową o dwa słoiki z jej spiżarni, i zaniósł je Ariadnie po to tylko, aby ujrzeć w jej oczach błysk wdzięczności.

Odessa zmieniła wygląd zewnętrzny. Po ostatnich walkach była przez jakiś czas opuszczona i zaniedbana. Teraz otwarto kina, teatry, parę kawiarni, kosztowało to wiele trudu i wysiłku, tylko Wołodia coś o tym wiedział z całego towarzystwa na Dworcowej. Ale kiedy otwarto kawiarnie, zaczęto tłumnie w nich bywać. Ariadna czasami wyciągała Janusza na kawę. Nie mógł z nią często chodzić, kawiarnie były drogie, a Janusz od dłuższego czasu był zupełnie bez grosza. Bilińska parę razy pytała go, czy nie potrzebuje pieniędzy, ale nie chciał brać od siostry, nie wiedział zresztą, czy ona sama ma jakie środki. A przecież miała dziecko, o mleko było trudno i kosztowało ono bardzo wiele.

Janusz zauważył, że Ariadna teraz rzadziej bywała w domu i że bardzo często spotykała się z Maurice'em w małej kawiarni przy ulicy Derybasowskiej. Janusz tym bardziej unikał tego zakładu, że nie chciał widywać Gołąbka, do którego czuł instynktowną antypatię i głęboki żal za całą sprawę z Olą. Zresztą pod tym względem mieszane uczucia panowały w jego duszy. Miał również i do Spychały, a zwłaszcza do siostry. Szkoda mu było biednej Oli. Gołąbek bardzo nalegał, aby ślub odbył się jak najprędzej, nie czekając na niepewny jeszcze powrót do kraju.

Mimo to Janusz odprowadzał czasami Ariadnę pod same drzwi kawiarni Gołąbka. Żegnała się z nim przed lustrzaną szybą, za którą widniała czarna czupryna i błyszczące oczy Maurice'a. Zawsze w tych wypadkach całował ją w rękę na ulicy, choć prosiła, aby tego

nie robił.

Pewnego dnia zaciągnęła go do środka. Zgodził się niechętnie i siedział niemo przy stoliku, gdzie gadali Ariadna z Francuzem. Nawet nie słuchał, o czym mówili. W pewnej chwili zastanowiło go powiedzenie Ariadny:

— Ileż więc czasu trzeba płynąć na Krym? — (Mówiła źle po francusku i powiedziała „le Crime” zamiast „la Crimée”.)

Słowa te zasłyszane w przelocie tak go oszołomiły, że nie wiedział, jak na nie zareagować. Ariadna nie bardzo długo tym razem siedziała w kawiarni, spieszyła się gdzieś na jakiś wiec znowu i pożegnała się z panem Delattre bardzo prędko. Janusz porwał się, aby ją odprowadzić, ale ledwie parę kroków oddalili się od kawiarni, kiedy wyciągnęła do niego rękę.

— Idź już, niedobrze, aby nas ciągle razem widzieli — powiedziała.

— Czy cię śledzą?

— Przypuszczam, że nie. Ale Delattre'a tak.

— Wyjeżdżasz? — spytał Janusz, nie puszczając jej ręki.

— Jeszcze sama nie wiem — Ariadna wyciągnęła dłoń z jego ręki.

— Ależ dlaczego? — spytał Janusz, jak gdyby odpowiedź Ariadny była pozytywna.

— Nie wiem nic — szepnęła Ariadna odwracając głowę, ale nie odchodząc.

— A twoja praca? A rewolucja? — spytał Janusz.

Spojrzała na niego przelotnie i znowu odwróciła wzrok.

— Chcę żyć! — powiedziała jeszcze ciszej. Janusz się zdziwił.

— Żyć? Co to znaczy?

Ariadna zaśmiała się.

— Żyć? Jak ci to wytłumaczyć... Cogito ergo sum... chyba nie tak... amo ergo sum.

— Nic nie rozumiem — powiedział Janusz i przybliżył swą twarz do twarzy Ariadny, aby lepiej przypatrzeć się jej rysom. Miała zmęczoną, żółtą skórę.

— I ja niewiele więcej, no, ale zobaczymy. — Ariadna znowu popatrzyła na niego. Jak się Januszowi wydało, jak gdyby z litością. — Nie przychodź teraz, mój drogi, do nas — dodała nagle i z pewną decyzją — czekaj na mój list.

Janusz nie wychodził przez trzy dni z mieszkania Szyllerów czekając na wiadomość od Ariadny. Dopiero teraz, kiedy przebywał w tym domu stale, od rana do wieczora, spostrzegł, jak wiele rzeczy w nim się zmieniło. Pani Szyllerowa chodziła bardzo ponura, a pani Royska i ciocia Michasia zamykały się w swoim pokoju. Ola, zdaje się, płakała. Chodziła z kąta w kąt blada i smutna. Tylko Józio był uosobieniem radości, po prostu roznosił ciasne mieszkanie. Pani Royska bardzo się o niego bała, nie wypuszczała go więc na miasto, musiał po całych dniach sterczeć w stołowym pokoju, czasami głos jego i śmiech dolatywały z pokoju Elżbietki. Elżbietka parę razy na dzień rozpoczynała śpiewać, ale prześpiewawszy parę ćwiczeń milkła, jak ptak, który odezwał się za wczesnie na wiosnę. Codziennie koło południa przychodziła na lekcję mała Hania od stróża i wtedy zza zamkniętych drzwi dolatywały dwa dźwięczne głosy powtarzające solfeż i oddzielne nuty, co brzmiało niby aria z fletem z *Somnambuli* — fletem był głos Elżbietki. Dnie lutowe były szare i ciepłe, morze nie zamarzło i powiew z południa niosący zapach jodu uderzał w nozdrza Janusza, ilekroć otwarto okna przy sprzątaniu. Trzeciego dnia nad wieczór Elżbietka otworzyła drzwi swojego pokoju na korytarz i zaczęła śpiewać. Janusz siedział w swoim pokoju przed oknem i patrzył, jak się nad dachami przeciwnych domów niebo zaciągało nocą. Józio leżał na swoim łóżku odrzuciwszy czytaną książkę, bo było już za ciemno. W momencie kiedy Elżbietka wyrzuciła pierwszą długą nutę, ciągniętą równo w soczystym mezzoforte (głos jej zabrzmiał w tej chwili naprawdę przedziwnie), Józio uniósł się na łóżku. Janusz oderwał swój wzrok od szarego nieba i popatrzył na niego. Józio wsparł się na łokciu i przekrzywiając głowę, jak rasowy pies, począł nasłuchiwać tak uważnie, jakby chciał coś wyczytać w tym głosie. I rzeczywiście

w arii Händla, od której Elżbietka zaczęła swój dzisiejszy koncert, zabrzmiały jakieś osobliwe tony, błagalne i pełne, modlitwą brzmiące, a jednocześnie tak bardzo zmysłowe. Janusz też słuchał tego śpiewania jak gdyby jakiegoś dziania się.

— Co się stało — szepnął Józio. — Dlaczego ona tak śpiewa?

Jednocześnie dały się słyszeć w korytarzu ciche stąpania, drzwi otworzyły się i stanął w nich Edgar. Głos Elżbiety dolatywał teraz mocniej, jak wiolonczela, z której zdjęto surdynek. Józio spojrział na Edgara, ale odwrócił wzrok. Nie ruszył się ze swej pozycji. Januszowi zrobiło się zimno.

Aria Händla dobiegała końca w cudownym pianissimo i dwa akordy fortepianu zamarły w doskonałej kadencji. Nikt nie ruszył się. Rozpoczął się drgający, cichy akompaniament. Teraz Elżbieta zaczęła jedną po drugiej włoskie pieśni Wolfa. Janusz ujrzał jakieś ciepłe kraje szczęśliwości, coś, co nie istniało na ziemi w dwudziestym wieku, co nigdzie nie mogło istnieć, tylko w takiej pieśni. Przeczucie szczęścia pomieszało mu się nagle z lękiem jakiegoś strasznego zdarzenia i powtórzył sobie w duchu to samo pytanie Józia: „Co się stało? Dlaczego ona tak śpiewa?”, i poczuł lęk przed tym, że działo się tutaj coś niezmiernie ważnego, a on nic o tym nie wie, i że los jego decyduje się gdzieś poza nim, bez najmniejszego udziału jego osoby. Los jego, a może los ich wszystkich trzech? Twarz Edgara białała w ciemni, stał w drzwiach, opierając się ręką o futrynę. Józio bez ruchu, ze schyloną głową trwał na łóżku, słuchając tak uważnie. Janusz przechylił w tył głowę i zamknął oczy, powieki napęłniły się łzami.

W tej chwili od kuchennych drzwi rozległo się mocne pukanie. Nikt się nie ruszył ani Elżbieta nie przestała śpiewać. Janusz wstał i poszedł do kuchni, we drzwiach serdecznie ściskając Edgara, zapalił świecę w kuchni, Elżbieta wciąż śpiewała: „...Możesz stać przed oknem aż do rana, na nic twoje granie i śpiewanie...”, i otworzył drzwi. Stał w nich smukły marynarz, czarny na twarzy, ale bardzo ładny. Bez słowa podał mu kartkę papieru i zasalutowawszy „po białemu” zawrócił i zeszedł po schodach, jakby schodził ze sceny.

Janusz zbliżył kartkę do światła (z kartki wypadł na podłogę jakiś zadrukowany świstek) i nachylając się przeczytał.

*„Bądź jutro o dziewiątej wieczorem na molu siedemnastym w starym porcie. Spotka ciebie ten sam marynarz, przepustkę nocną na twoje imię na wszelki wypadek załączam.*

*Ariadna”*

Nazajutrz rano mimo zakazu Janusz pobiegł na Dworcową, ale nie zastał tam nikogo. Wrócił do domu niespokojny, znalazł w domu kartkę od Marii błagającą go, aby ją odwiedził. Bilińska od jakiegoś czasu unikała Szyllerów. Odrzucił z niechęcią kartkę i chodził tam i z powrotem po ciasnym pokoju. Józio siedział u Edgara. Przy obiedzie Janusz zauważył, że jego niepokój udzielił się jak gdyby całej rodzinie zebranej przy stole. Edgar milczał patrząc w talerz, Elżbietka odpowiadała od rzeczy na pytania cioci Michasi, Ola rzucała niespokojne spojrzenia na matkę i ciotkę, a pani Royska z trudnością — widać to było — wydobywała z siebie jakieś obojętne powiedzenia: o rewizjach, o pogodzie, o zaarrestowanym sąsiedzie.

Wieczór zbliżał się powoli. Janusz siedział w swoim fotelu przed oknem, Józio znowu leżał na łóżku z tą samą książką w ręku. Janusz zauważył, że Helenka kilkakrotnie przemierzyła drogę przez korytarz od kuchni do pokoju Elżbiety. Pani Szyllerowa siedziała u córki i przez ścianę dolatywały do chłopców odgłosy ich spokojnej rozmowy. Wczesny wieczór lutowy poczynił już zapadać i w pokoju wychodzącym na podwórze poczyniło się ściemniać.

Wreszcie Janusz nie wytrzymał i wyszedł na miasto. Józio nawet go nie zapytał, dlaczego tak późno wychodzi. W pracowni Edgara świeciła się lampa, muzyk rozmawiał spokojnie



z Ryniewiczem na odwieczny temat profesora: o epoce lodowej.

Kiedy Janusz się znalazł na ulicy, ściemniło się zupełnie, latarnie jeszcze się nie paliły. W momencie gdy stanął przed domem, z daleka dobiegła salwa karabinu maszynowego. Przechodniów było mało. Poszedł ulicą Ryszelską i po kilku minutach stanął na olbrzymich schodach prowadzących do portu. Jeszcze było bardzo daleko do umówionej godziny. Port spał, od morza szedł ostry, chłodny wiatr, od czasu do czasu przynoszący zapach dymu. Jeden czy dwa statki drzemące, jak oswojone zwierzęta na niewidzialnej wodzie, dymiły zawzięcie. Tu i ówdzie paliły się w dole czerwone światła, zielone latarnie. Syrena jednego ze statków zawyła żałośnie i w tym jęku, jak we wczorajszym śpiewie Elżbiety, brzmiała zapowiedź rozstania. Teraz już wiedział na pewno: Ariadna wyjeżdża.

Zszedł jedno przęsło schodów, usiadł na kamiennej ławce i tak siedział bez ruchu i bez myśli aż do oznaczonego czasu. Bardzo mało ludzi chodziło po schodach. Klapiący ich krok odzywał się echem po granitowych stopniach. Janusz podniósł się wreszcie i poszedł do portu. Z trudnością odnalazł molo numer siedemnaście, trzy razy pokazując napotkanym patrolom przepustkę Ariadny. Gdy począł iść odnalezionym mołem ku małemu budynckowi stojącemu na jego końcu, poczuł nagle zapach morza i usłyszał ciche klekotanie fali o kamienie. Odczuł w tym momencie gwałtowną tęsknotę, pragnienie odjazdu czy unicestwienia. Przypomniały mu się poranki dzieciństwa, kiedy się budził z uczuciem takiej tęsknoty.

W tej chwili z ciemności wynurzył się wysoki marynarz i zaszalutował.

— Proszę, proszę tutaj, państwo już czekają.

Ledwie zrobił kilka kroków, ujrzał przy molo czarny kadłub dużej motorówki, nie paliło się na niej żadne światło. Wydało mu się, że w motorówce porusza się kilka cieni. Nagle tuż koło niego stanęła nieduża ciemna postać: poznał Ariadnę.

— Jedź z nami — powiedziała nagle bez powitania, chwytając go za ramię — jedź z nami!

Janusz uśmiechnął się w ciemności do samego siebie. „Dlaczego nie mam pojechać?” — pomyślał. Ale odpowiedział:

— Nie, Ariadno, nie mogę.

Ariadna drugą ręką wzięła go za drugie ramię i usiłowała popatrzeć mu w oczy.

— Dlaczego nie możesz? — spytała.

Janusz nic nie odpowiedział, tylko zdjął jej rękę z ramion i ucałował je.

— Z kim uciekasz? — zapytał ją.

— Delattre to wszystko urządził i jeszcze jeden... wszystko zapewnione, nie zatrzymają nas.

— Szkoda — zażartował Janusz.

— No, wiesz... — powiedziała Ariadna — no, i jeszcze Wala...

— Niewolin? — szepnął Janusz głosem bardziej przestraszonym, niżby chciał powiedzieć.

— Jeszcze czekamy... — szepnęła Ariadna i urwała. Janusz posłyszał, że ktoś szybkimi krokami podchodzi do niego z tyłu. Odwrócił się, przed nim stała Elżbietka, tak jak przyjechała z Petersburga, w kożuchu i chustce na głowie. Rubinstein i Helenka przeszli od razu pod przewodnictwem wysokiego marynarza do motorówki. Elżbietka podniosła twarz ku Januszowi, oczy jej wydały się w ciemności wpadnięte i czarne.

— Wiedziałam, że pan tu będzie — powiedziała Elżbietka. — Pan jest taki dobry. Niech pan powie Józiovi...

— Czy Józio wie?

— Nie, nie mówiłam mu. Wiedzą tylko Edgar i mama. Ale niech mu pan powie, że ja będę pamiętać.

Janusz zirytował się:

— Co pani będzie pamiętać?

— No... wszystko — odpowiedziała Elżbietka.

Ariadna znowu się zbliżyła.

— Jedziemy — powiedziała.

Motor nagle zawarczał gwałtownie i zaczął strzelać. W tej ciszy to brzmiało tak głośno, że zdawało się nie tylko port, ale cała Odessa się obudzi.

— Rubinstein musiał dobrze sypanąć złotem — powiedział Janusz do Ariadny.

Stały teraz przed nim dwie kobiety wpół wyciągając do niego ręce. Wydawało mu się, że to wszystko dzieje się we śnie. Pochylił się do rąk Elżbiety. Pocałowała go w głowę. Coś mu powiedziała, czego nie dosłyszał. Uchwycił tylko jeden wyraz: „Józio”.

— Dobrze, dobrze — powiedział.

Ariadna zarzuciła mu ręce na szyję i nic nie mówiła. Całym sobą czuł przy sobie jej drobne, kruche ciało.

— Ariadno — powiedział.

— Ja wiem — posłyszał głos tuż przy swoim uchu — ja wiem, ty jeden mnie tylko kochasz. Ale ja nie mogę...

Marynarz podszedł i zasalutował. Motor strzelał jak seria z karabinu. Obie kobiety odeszły i po kolei podając rękę marynarzowi zeszyły do motorówki. Marynarz wskoczył i wciągnął deskę. Motorówka jednym susem skoczyła w ciemność i zaraz znikła, tylko piekielny hałas, szybko zacichający, znaczył jej ślad.

„To odwaga” — pomyślał Janusz.

Stał jeszcze chwilę jak oszołomiony, potem poszedł mołem i wreszcie portem, wypatrując uważnie, aby tym razem nie wpaść już na partol. Udało mu się to szczęśliwie.

Gdy z trudnością wstępował na schody, na przedostatniej kondygnacji zastąpił mu drogę jakiś cień.

— Pojechała? — zapytał. Poznał zarys postaci Wołodi.

— Pojechała — powiedział Janusz i teraz dopiero uświadomił sobie, co się stało.

— Czy ty rozumiesz ją? — spytał Wołodię.

— Kto, u licha, zrozumie kobiety. — Wołodia zaklął brzydko. — Czy zdajesz sobie sprawę, jak ona mnie zdradziła...

Janusz pokiwał głową.

— Ciebie?

— No, mnie! To wszystko, w co ja wierzę — powiedział Wołodia.

— A ty wierzysz? — spytał Janusz.

— Wierzę! — nagle pełnym głosem zawołał Wołodia, aż echo uderzyło o granit schodów i zbiegło stopniami hen ku morzu, na którym zginął już odgłos oddalającej się motorówki.

## IX. (Fragment)

Po zawarciu pokoju brzeskiego Niemcy szeroką ławą ruszyli na Ukrainę. W połowie marca zajęli Kijów i Odessę. Do Odessy weszły zmieszane wojska austriackie i niemieckie. Do Kijowa same niemieckie, pod dowództwem feldmarszałka Eichhorna.

Kiedy wojska niemieckie wchodziły do Odessy, świeciło jasne, wiosenne słońce. Marzec był tak piękny, jak tylko w południowej Rosji bywa. Tłumy wyległy na ulice, przez które przechodziły wyborowo ubrane oddziały w hełmach z zatkniętymi za rzemyki zielonymi gałązkami jedliny. Niemcy byli bardzo zmęczeni wojną, ale na zajęcie miast ukraińskich znaleźli gdzieś jeszcze nie tknięte oddziały, które imponowały mieszkańcom Odessy, od wielu miesięcy przyzwyczajonym do widoku obdartego żołnierza, obwieszzonego bezładnie granatami i wstążkami naboju kulomiotowych. Za oddziałami miarowo

stukającymi w bruk podkutymi butami z wolna ciągnęły dwa samochody. W pierwszym siedział głównodowodzący wojskami porozumienia, w drugim ataman Petlura. Samochód Petlury zasypany był po brzegi kwiatami, ataman stał w pojeździe i salutując obracał głowę na dwie strony z uśmiechem. Tłum wył i raz po raz ponad głowami ludzkimi wznosiła się wiązanka kwiatów czy liści i zakreślając łuk wpadała do samochodu, celniej lub gorzej wymierzona. Szofer opędał się od tych wiązanek jak od much, wznosząc w górę łokcie, dłońmi kurczowo przywarły do kierownicy.

Janusz, wmieszany w tłum, z dziwnym uczuciem patrzył na wchodzące wojska. Niewątpliwie przynosiły one coś w rodzaju wyzwolenia: porządek, praworządność, powiew zachodu. Ale jednocześnie nie mógł się oprzeć dławiącej nienawiści, kiedy spoglądał na twarze żołnierzy, jeżeli nie dostatecznie odżywionych, to w każdym razie starannie wymytych.

Tłum, który niedawno witał równie uroczyście bolszewików, pogromciami Centralnej Rady, teraz tak samo cieszył się widokiem szarych mundurów niemieckich i barwnych czapek adiutantów bat'ki Petlury.

Janusz wycofał się szybko ze ścisku, który go drażnił. Na rogu Derybasowskiej natknął się na Wołodię. Ledwie go poznał w zażywnym, starannie ubranym kupcu z dość dużą już brodą. Wołodia podszedł do niego szybko i dał mu swój nowy adres.

- Przyjdź — powiedział — zawsze jestem koło szóstej w domu.
- Gdzie to jest ta ulica? — spytał Janusz, który nie znał dobrze miasta.
- To niedaleko portu, tam w dole... — dodał Wołodia i znikł w tłumie.

#### **Stefan Melkowski: Powieść na rozdrożu. Poetyka „Sławy i chwały” Jarosława Iwaszkiewicza;**

Powieść Jarosława Iwaszkiewicza *Sława i chwała* jest dziełem niezwykle symptomatycznym dla epoki, która je wydała, a właściwie - dla kilku, bardzo różnych, epok naszego wieku. Obmyślana i pisana niezwykle długo, bo prawie przez ćwierćwiecze (1938-1961), wchłonęła w siebie atmosferę potężnych przełomów i sprzeczności, w które obfitował ten czas. Dość powiedzieć, że jest rówieśniczką *Ładu serca* Jerzego Andrzejewskiego i *Węzłów życia* Zofii Nałkowskiej, *Pożegnania z Marią* Tadeusza Borowskiego oraz *Popiołu i diamentu* J. Andrzejewskiego, *Buraczanych liści* M. Jarochońskiej i *Obywateli* Kazimierza Brandysa, *Gór nad Czarnym Morzem* Wilhelma Macha i *Końca zgody narodów* Teodora Parnickiego. Należy więc nie do jednej, ale do kilku epok literackich. Kiedy powstawały pierwsze pomysły i szkice *Sławy i chwały*, dziewiętnastowieczny model powieści „trzymał się” jeszcze mocno, chociaż trwały gorące dyskusje wokół rewolucji literackiej dokonanej przez Prousta i Joyce'a. Kiedy swoją pracę pisarz kontynuował, u nas panował socrealizm, a na Zachodzie francuski egzystencjalizm pospołu z amerykańskim behawioryzmem. Kiedy zaś ją kończył - teoria i praktyka francuskiej „nowej powieści” była już zjawiskiem dość rozpowszechnionym, także u nas. Należy też *Sława i chwała* do różnych okresów twórczości jej autora, bo przygotowywał i pisał ją Iwaszkiewicz w czasie tworzenia i *Pasji Błędmirskich*, i *Bitwy na równinie Sedgemoor*, i *Starej cegielni*, i *Ucieczki Felka Okonia*, i *Wzlotu*, i *Cieni*, i *Kochanków z Marony* - przez dwadzieścia trzy lata swego pisarskiego żywota.

Pod każdym zatem względem jest to **powieść z rozdroża**. Przede wszystkim - z rozstajnych dróg historii, kultury i egzystencji połowy XX w., ale tym się w tej książce nie zajmuję. Próbuję tu natomiast przedstawić rozdroże literackie, na które weszła *Sława i chwała* wraz z czasem, który ją zrodził - uwikłana w sprzeczne tendencje estetyczne, w przemiany powieściowego gatunku, w wiryale twórczości samego pisarza.

## **WAKACYJNY KONKURS CZYTELNICZY!!!**

**Przedstawiamy fragmenty trzech wielkich cykli powieściowych pisarzy nieobecnych w szkole:**

- **Antoniego Gołubiewa** - fragmenty I tomu cyklu „**Bolesław Chrobry**” zatytułowanego „**Puszcza**”.
- **Karola Bunscha** - fragment 2 części ostatniego ogniwa cyklu powieści piastowskich - „trylogii łokietkowej” - pod tytułem „**Wywołańcy**”.
- **Jarosława Iwaszkiewicza** - fragmenty I tomu powieści „**Sława i chwała**”.

**Zapraszamy do wakacyjnego przeczytania przytoczonych fragmentów, a może... całych powieści.**

**Uważamy, że każda z tych książek mówi coś ważnego o Polsce, uczy poważnego myślenia o procesie historycznym, czegoś, co jest zupełnie nieobecne w potocznej świadomości współczesnego maturzysty.**

**Tych, którzy dadzą się namówić na wielkie wakacyjne czytanie, zachęcamy do napisania własnego sprawozdania z odbytej lektury, eseju-recenzji o przeczytanych fragmentach lub całych książkach i prosimy o przesłanie pracy na adres "Zeszytów Jagiellońskich" ([wkopec1@wp.pl](mailto:wkopec1@wp.pl)) do końca wakacji.**

**Recenzje opublikujemy, a ich autorów zaprosimy na jesienną debatę o polskiej powieści historycznej, dla najlepszych przewidujemy nagrody.**